NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop, z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop, z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 10 marca 1906 r. Nr. 10.

Krwawy wiec ruski.

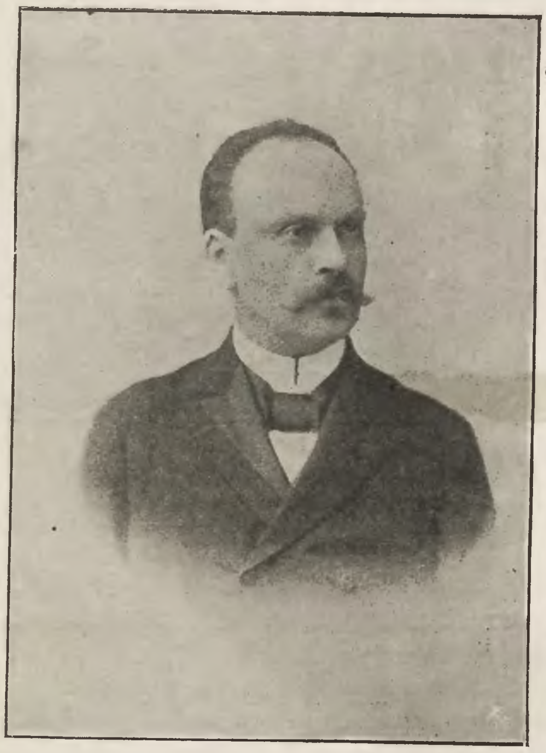
(Treść na stronie 2.)



Krwawy wiec ruski.

(Do illustracyi tytułowej).

W ubiegły wtorek rozegrała się w miejscowości Ladzkie w powiecie buczackim krwawa tragedya, która w skutkach swych odbije się bardzo



Walka na barykadach w uniwersytecie: Prof. dr. Antoni Gluziński, rektor wszechnicy lwowskiej, na której świeżo ruscy studenci wywołali krwawą awanturę.

znamiennie na przyszłym stosunku Polaków do Rusinów w Galicyi wschodniej. Przebieg zajścia, według niejasnych i niezgodnych ze sobą relacyi pism, był mniej więcej następujący:

W poniedziałek odbywał się w Niżniowie wiec ruski przy olbrzymim udziale ludności z Niżniowa i okolicy. Z powodu namiętnych ataków agitatora ruskiego Oleśnickiego na Polaków, z powodu niedopuszczenia do głosu p. Walewskiego, oraz wynikłej stąd awantury, komisarz rządowy p. Dunikowski rozwiązał wiec i wezwał zgromadzonych do rozejścia się, sam zaś wyprowadził z sali p. Walewskiego, na którym skrupiła się cała nienawiść Rusinów. Tłum wysypał się na pole, gdzie przyłączyli się doń chłopi z Ladzkiego, którzy się na wiec spóźnili. Chłopi ci szli z czerwoną chorągiewką na czele, urządzoną nadzwyczaj prymitywnie, bo z czerwonej bibuły, umocowanej na drążku. Niepodobało się to komisarzowi, Dunikowskiemu, który rzucił się w tłum, chcąc chorągiewkę wydrzeć; widząc jednak, że ten przybrał groźną postawę i że zaczęło wrzeć, Dunikowski schronił się do sąsiedniej szkoły koszykarskiej. Wiecownicy po chwili naradzili się i rozeszli się spokojnie do domów.

Byłoby się więc wszystko skończyło zupełnie spokojnie, gdyby dalszy ciąg wiecu nie był się przeciągnął aż do drugiego dnia. Wieczorem bowiem zjawili się w Ladzkiem dwaj żandarmi, którzy wypytywali włościan, kto z nich należy do „Siczy“, kto brał udział w wiecu i t. d. Potem znikli, a dopiero koło północy przybyli z oddziałem wojska, złożonym z 18 ludzi, z porucznikiem Radą na czele. Nad ranem aresztowano 14 członków „Siczy“ i prowadzono ich ku karczmie. Za nimi wyległa cała wieś; powstał ogromny płacz, krzyk i lament. Ludzie, nie wiedząc, co się dzieje, powybiegali z chat z konewkami i toporami, w przekonaniu, że wieś się pali. Żołnierze, którzy mieli pilnować aresztowanych, zachodzili ciągle do karczmy, tak, że aresztowani zlali się powoli z tłumem. Kilku gospodarzy podeszło wtedy do żandarma, pytając, za co i na mocy czyjego rozkazu aresztowano tych 14. Żandarm zbył pytanie kpinami. Żona jednego z aresztowanych z głośnym płaczem rzuciła się na tłum ku mężowi, ale w tej chwili nadbiegł porucznik Rada i rozdzielił ich. Wśród tłumu zawrzało. Porucznik, spostrzegłszy to, uszykował oddział, zakomenderował „Feuer“, rozległ się głuchy trzask kurków, dym przesłonił żołnierzy i w tej chwili ozwały się jęki ranionych i przeraźliwe krzyki konających. Dano trzy salwy, poczem porucznik zakomenderował odwrót i wojsko wraz z żandarmami odeszło do Niżniowa, zostawiając za sobą krew rannych i trzy trupy, między tymi jedną kobietę. We czwartek dopiero aresztowano w Ladzkiem 20 osób i odstawiono ich do Niżniowa.

Krwawe to zajście, którego illustracyę podajemy na tytułowej stronie dzisiejszego numeru, wywołało w całym kraju nad wyraz przykre i przygnębiające wrażenie.



Warszawscy redaktorowie pod sądem: Stanisław Lesznowski, redaktor najstarszego w Polsce dziennika „Gazety Warszawskiej“ (obecnie po zawieszeniu jej, wychodzącej pod tytułem „Reforma“).

Walka na barykadach w uniwersytecie.

Lwowska „Alma Mater“ była w piątek ubiegłego tygodnia widownią niebywałych jeszcze dotąd w dziejach polskich zakładów naukowych zajść, wywołanych przez garstkę rusińskich studentów. Już poprzedniego dnia zaczęły się w murach wszechnicy lwowskiej niepokoje, gromada mianowicie Rusinów urządziła w południe hałaśliwą demonstracyę przeciw rektorowi uniwersytetu dr Gluzińskiemu, a przytem powybijała szyby w kilku oknach, poniszczyła tablice z napisami, rozbiła wiele lamp i przerwała druty, przewodzące elektryczność, a dokonawszy tego brutalnego aktu, ulotniła się. Reakcyą na ohydny gwałt ruskich studentów była ze strony polskiej młodzieży owacya, urządzona następnego dnia w południe rektorowi. Bez-



Fot. dla „Nowości Illustrowanych“ Lissa we Lwowie.

Walka na barykadach w uniwersytecie: Gmach lwowskiego uniwersytetu podczas ostatnich awantur ruskich: przed wejściem głównem gromadzi się młodzież polska; w głębi okna korytarza, w którym zabarykadowali się studenci ruscy.

pośrednio po tej owacyi przyszło na korytarzu gmachu uniwersyteckiego do krwawej bójki między młodzieżą ruską a młodzieżą polską, bójki, zakończonej poranieniem kilkunastu studentów. Do jakich rozmiarów doszła walka, świadczy fakt, iż na korytarzach poustawiano z ławek, wyniesionych z sal wykładowych, barykady, z poza których obie strony nawzajem obrzucały się polanami, nie szczędząc sobie przy tem obelżywych przezwisk.

Spowodowana przez ruskich studentów bójka zakończyła się, po pięciogodzinnem prawie trwaniu, ustąpieniem Rusinów, którzy złożywszy swe legitymacye akademickie, wynieśli się z gmachu tylnem wyjściem. Pod tym tylko warunkiem zgodziła się młodzież polska na ich wypuszczenie.

Gmach uniwersytecki, w szczególności korytarz I. piętra, na którym bójka się toczyła, przedstawiał obraz zupełnego zniszczenia. Dwa dni przeszło musiała służba uniwersytecka pracować nad usunięciem śladów walki i przyprowadzeniem gmachu do możliwego stanu.

Przyczyną awanturniczej „borby“ rusińskiej było stanowisko, jakie rektor uniwersytetu dr. Gluziński zajął wobec deputacyi studentów ruskich, gdy ci przyszli do niego i w języku ruskim żądali pozwolenia na odbycie wiecu. Rektor Gluziński mianowicie, powołując się na to, że językiem urzędowym i odpowiadającym charakterowi uniwersytetu, jest język polski, nie rozumiejąc ponadto języka ruskiego, odmówił odpowiedzi. Patryotyczne stanowisko rektora Gluzińskiego zyskało uznanie całego społeczeństwa, postępek zaś ruskiej młodzieży wywołał ogólne oburzenie.

Rycina nasza, obok umieszczona, przedstawia gmach uniwersytetu, pod którym zgromadziła się młodzież polska. W głębi okna korytarza, w którym zabarykadowali się Rusini.

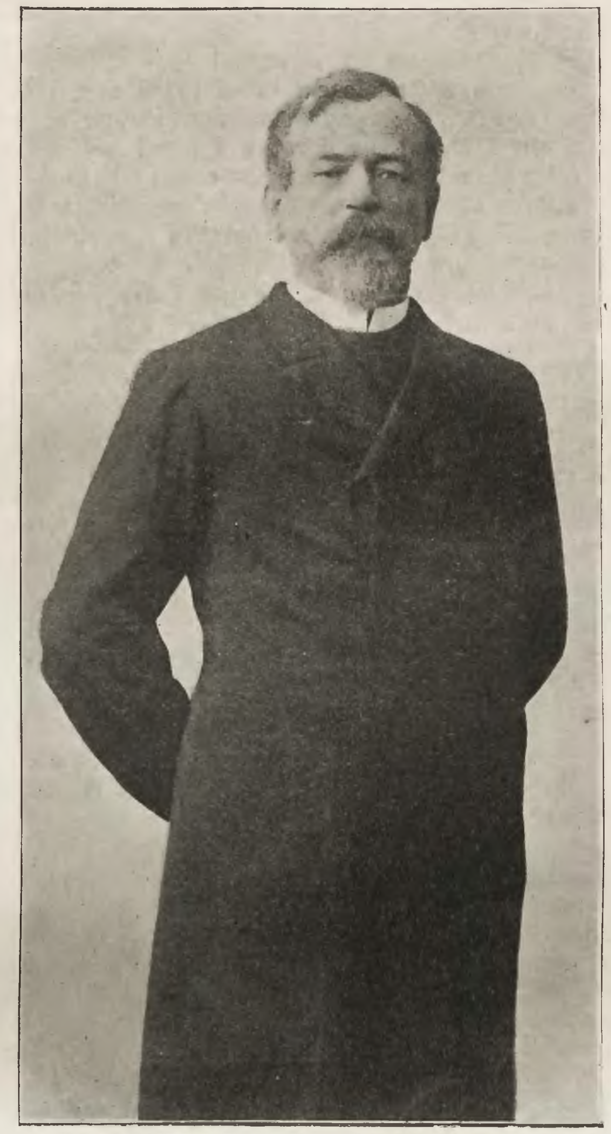
Nadto podajemy dziś portret rektora uniwersytetu lwowskiego, dra Antoniego Gluzińskiego.

Lwów związał z Krakowem.

Ciężką i zapewne na długo niepowetowaną stratę poniosło społeczeństwo polskie przez zgon śp. Gwalberta Ziembickiego, (oto jego portret) męża niezwykle szlachetnego charakteru, męża pełnego zasług, co przeszedł przez całe życie, czyniąc wszystkim dokoła siebie dobrze, wspierając hojnie radą i pomocą, aż do zaparcia się własnych interesów.

Syn niezwykłego ojca, sam był człowiekiem niezwykłej miary. Nadzwyczajnie uzdolniony jako matematyk, zwrócił na siebie uwagę profesorów na politechnice wiedeńskiej, gdzie kształcił się po ukończeniu szkół średnich. Walka o niepodległość narodową w r. 1863 porwała i młodego wówczas Gwalberta w szeregi powstańcze. Po jej upadku jął się pracy zawodowej, zawsze sumienny, skrupulatny i hojny dla swoich współpracowników, których wytworzył cały zastęp, kochany przez nich i ubóstwiany.

W kraju naszym pozostawia liczne ślady swej bogatej w czyny i rzetelne zasługi działalności. On to połączył drugim torem kolejowym Lwów z Krakowem, budował szlaki: Sokal-Jarosław, Lwów-Bełzec, Przeworsk-Bachórz, Chabówka-Zakopane. Obok tego wygotował mnóstwo tras, a długi



Lwów związał z Krakowem: Śp. Gwalbert Ziembicki, zasłużony inżynier, który zbudował liczne koleje w Galicyi i połączył Lwów z Krakowem drugim torem

ich szereg kończą: Lwów-Podhajce i Lwów-Stojanów.

Śp. radca budownictwa Gwalbert Ziembicki był bratem znanego powszechnie profesora uniwersytetu i chirurgii dra Grzegorza, oraz inżyniera p. Mieczysława.

Zgon śp. Gwalberta wywołał w całem społeczeństwie szczery żal, którego wyrazem był tłumny udział publiczności ze wszystkich sfer w pogrzebie zmarłego we Lwowie.

Warszawscy redaktorowie pod sądem.

W ich nieprzeliczonym rzędzie staje w dalszym ciągu Stanisław Lesznowski, spadkobierca i długoletni wydawca i redaktor najstarszego wiekiem pisma polskiego „Gazety Warszawskiej“, liczącej już 133-ci rok wydawnictwa!

Znalazł się zatem i ów popularnie, po koleżeńsku zwany „Staś“ Lesznowski pod sądem z racyi przestępstwa prasowego, popełnionego jakimś artykułem rzekomo prowokującym wojsko.

Ale omal że nie znalazł się zaraz po pierwszem przesłuchaniu śledczem w więzieniu, od którego zwolnił go na razie dawny jego charakter urzędowy „towarzysza prokuratora“; więc za kaucyą 300 rb. odpowiadać będzie przed sądem, z wolnej stopy. Przed laty sześciu obchodził już srebrne gody służby publicystycznej.

Sympatyczny, lubiany powszechnie, dobry, zacny, uczynny, iście typowy Warszawiak, popularny, bardzo zestosunkowany, zawsze równy usposobieniem, uprzejmy, o pogodnej przystojnej twarzy, na której nie znać bardzo wielu przebywanych niepowodzeń, które w latach ostatnich szczególniej związane były z wydawnictwem „Gazety“, dziś własności zasobnego konsorcyum.

Urodzony w roku 1848, ukończył gimnazyum i warszawską szkołę główną ze stopniem magistra prawa i administracyi. Początkowo sądownictwu oddany, był asesorem sądu poprawczego, potem podprokuratorem sądu cywilnego do r. 1875, w którym objął wraz z Kenigiem kierownictwo „Gazety Warszawskiej“, zaś od r. 1886 naczelne jej redaktorstwo.

Choć dziś pod sądem, choć „Gazeta warszawska“ w zawieszeniu, przeszła kolejno po pierwszem w drugie już wydawnictwo pt. „Reforma“, nie traci p. Stanisław dobrej miny ni nadziei w lepsze czasy

B-t.

Pogromca Odessy.

Nazwisko Neuhardta, byłego gradonaczalnika Odessy, nie jest obce naszym Czytelnikom. Nie będziemy się więc szerzej dziś rozpisywali o czynach tego osławionego „męża stanu“, z którego portretem mamy tu sposobność zapoznać polską publiczność.

On to był organizatorem właściwym słynnego pogromu w Odessie. Nie trzeba — sądzimy — wcale komentarzy do tego przypomnienia.

Gdy wyszły na jaw jego sprawki, przysłano z Petersburga do Odessy komisyę, która stwierdziwszy jego winę, usunęła go z urzędu.

Gdzie się dziś smutnej pamięci Neuhardt znajduje, nie umiemy objaśnić. Według jednych, podobno pociągnięto go do odpowiedzialności, zdaniem innych wszakże, umknął on za granicę i używa wesoło swobody, sprawiwszy tyle nieszczęść za jednym zamachem.



Pożar olbrzymiego młyna: Jedno skrzydło gmachu największego włoskiego młyna, który świeżo spłonął w Palermo, a stanowił główne składy mąki dla całej Sycylii. (Do artykułu na str. 14).



Pogromca Odessy: Neuhardt, organizator słynnego pogromu Odessy, były gradonaczalnik tego miasta, usunięty z urzędu na skutek komisyi rewizyjnej z Petersburga przysłanej.

BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Król. Polskiem

Napisał: ARTUR GRUSZECKI.

41 Ciąg dalszy.

— *Wasze błagorodje*, tu nie było przestępcy, sam meldowałem panu rotmistrzowi tutaj o poszukiwaniach.

— Nic nie znaczy — zawołał oficer — idźmy do kuchni.

Zamknięta od wewnątrz, z nienaruszonem łóżkiem, nie wzbudziła podejrzenia.

— Służąca nie nocowała?

— Poszła z wieczora... pozwoliłam.

Wzrok obecnych skierował się do przedpokoju.

— Bardzo panią przepraszam za sprawiony niepokój, ale służba... obowiązek.

— Może pan porucznik pozwoli kieliszek wina? przekąski?

— Zbyt wcześnie... dziękuję pani, a swoją drogą zazdroszczę rotmistrzowi. Dzień dobry pani życzyć, czy dobrej nocy?

— Dobrej nocy... jestem senna.

— Dobra noc... miłych snów.

Drzwi zamknęły się z hałasem, Olesia podbiegła do szafy.

— Nie znalazł cię! — śmiała się wesoło — czy źle się sprawiłam? Czy nie byłam odważną?... Pocałuj mnie.

— Podziwiałem ciebie — uściskał ją.

— I jak mu powiedziałam: proszę, niech pan rewiduje... nie patrz pan, bo nieporządek... Czy źle? — znów się śmiała uszczęśliwiona. — A wiesz, on nie odrywał oczu odemnie, i ja go kokietowałam umyślnie... Teraz tańczyłabym — okręciła się w kółko kilka razy — śpiewałabym... ach, jak to się udało!

— Cicho Olesiu, posłyszą... ale jak ja wyjdę?

— Zatrzymam cię u siebie... i gdy się wszystko uspokoi, wypuszczę.

— Pomysł bardzo miły dla mnie, ale niepraktyczny. Służąca... on... natychmiast odkryją.

— To prawda — westchnęła.

Posłyszeli otwieranie drzwi w kuchni i dobijanie się.

— Siedź tu... to służąca, pójdę otworzyć.

Gdy wracała, zamknęła drzwi od jadalnego pokoju do kuchni na klucz i weszła do sypialnego. Zastała Bolka oglądającego w szafie wielki, długi płaszcz rotmistrza.

— Gdybym miał czapkę jeszcze, mógłbym wyjść spokojnie i bezpiecznie.

— Czapka jest także, ale ja cię nie puszczę, złapią cię.

— Ale! sama mnie nie poznasz... Daj czapkę.

Ubrał się, kołnierz postawił w górę, nasunął czapkę, wyprostował się.

— A co? Czy poznają?

— Jaki ty miły! Jaki ty mądry!

— Wyjdę po dziewiątej, gdy urzędnicy idą do biur i przejdę niepoznany przez cały szereg żandarmów.

— O, tak cię nie puszczę bez herbaty. Zaraz będzie samowar.

— I owszem... a wypraw służącą do miasta.

— Dobrze... siądź na łóżku i sprawiaj się cicho.

Słyszał, jak służąca sprzątała ze stołu, zamiatała, jak wniosła samowar, wysłuchał całej rozmowy, rozporządzeń na obiad, wreszcie Olesia zaprosiła go na herbatę.

Po godzinie dziewiątej wyjął ze schowka papiery Kozaka i Skały, ukrył przy sobie, a pożegnawszy się serdecznie i podziękowawszy czule za opiekę, zabierał się do odejścia.

— Kiedyż się zobaczymy? — spytała żałośnie Olesia.

— Napiszę ci.

— Nie zapomnisz o mnie?

— Nigdy, Olesiu.

— A odeślij mi płaszcz i czapkę.

— Naturalnie, dziś jeszcze.

Na pierwszem piętrze spotkał stróża zamiatającego schody, który widząc poważnego urzędnika ,skłonił się pokornie.

Dobry znak, nawet ten mnie nie poznał, ale wspomniawszy rozkaz rotmistrza aresztowania, każdego zgłaszającego się do niego, wrócił się i zawołał z cicha na stróża:

— Michale! Michale!

— A słowo stało się... w imię Ojca i Syna...

— Cicho!... Przypilnujcie dobrze, ażeby ktoś nie pytał o mnie.

— Wiem... chwałaż ci Panie — zaśmiał się — i nie dostali was...

— Oficer poszedł?

— Przetrząsa dom, teraz w oficynie szuka... szczęśliwej drogi.

— Do widzenia... a pilnujcie!

Żandarm w bramie salutował przed nim, i Żalecki równym, spokojnym krokiem skręcił w boczną ulicę, skinął na dorożkę i kazał się wieźć do fabryki, w której Komar pracował.

Już dojeżdżał, gdy spostrzegł Olgę idącą w tym samym kierunku. Zatrzymał dorożkę i wysiadłszy, szedł naprzeciw niej.

Podniosła oczy, zarumieniła się i zawołała uradowana:

— Bolku!

— Nie ponimaju! Wy moja znakoma!? — zaśmiał się, całując wyciągnięte ręce.

— Otrzymałam jeszcze w sobotę naglącą kartkę od Komara... idę do niego.

— To bardzo dobrze się składa, bo i ja mam interes do niego... Wiecie, nas dwoje za wiele w jego biurze. Wejdźmy do cukierni i wezwiecie go posłańcem.

— Ja?!

— Wy mniej go narażacie... szukają mnie, może ktoś podpatrzeć — szli ku cukierni.

— Szukają was? Czy domyślają się Pasty?

— Zapewne i to.. Jakże wasze zdrowie?

— Czuję się zdrową, tylko jestem osłabiona.

Weszli do cukierni, Olga napisała kilka słów do Komara i posłańcem odesłała.

Opowiadał jej szczegółowo o manifestacyi, o usiłowaniu aresztowania go, co bardzo zaniepokoiło Olgę, gdyż tylu innych nie czepiała się policya, a jego chciano pochwycić, jak gdyby upatrzonego.

W czasie tej rozmowy przyszedł Komar, a zobaczywszy Bolka, patrzał, nie wierząc własnym oczom.

— I wy tutaj? Jakim sposobem? Zwaryowaliście chodzić tak po Warszawie? Uciekliście im?

— Jeśli tu jestem — uśmiechnął się — nie jestem u nich, to jasne.

Komar usiadł i patrzał z podziwem na Bolka.

— Doniesiono nam, że was schwycono w domu... Kozak i Skała już w drodze, nie wierzyli, aby wam się udało przejść po gzemsie... a jednak moja rada dobra była, uciekliście.

Olga patrzała na obu, zrozumiała, że jakieś wielkie niebezpieczeństwo minęło, i spytała:

— Co było? Gdzie? Jak?

— Wróciłem wczoraj po dziesiątej do domu, stróżka dała mi znać o żandarmach idących po mnie. Na gzems nie mogłem się zdecydować, spuściłem się z balkonu na sznurze, zabrawszy papiery... i na drugiem piętrze znalazłem opiekę. To Bolcew mnie ściga, słyszałem, jak odgrażał się... no, i znaleziono też u mnie pewno dosyć niedozwolonych rzeczy i pism.

— Bolcew?... To z mojej winy, mści się za wiadomość o tej dziewczynie.

— E, wszystko jedno — wtrącił Komar — i tak wisielibyście, Bolku, za drukarnię. Zupełnie nie rozumiem waszej bezczelności... wczoraj byliście na manifestacyi bez przebrania...

— Chciano go aresztować — dorzuciła Olga.

— Więc widzicie, śledzą was... może nawet domyślają się Pasty... Dziś cudem uniknęliście śmierci, i siedzicie sobie tu najspokojniej, w dodatku z towarzyszką.

— Spotkaliśmy się — bąknęła Olga zarumieniona.

— A to mnie nic nie obchodzi — rzekł podrażniony — jeszcze raz radzę i proszę, wyjeżdżcie na jakiś czas... zmieńcie się do niepoznania. Właśnie pisałem do towarzyszki kartkę, aby was nakłoniła do wyjazdu. Czyż nie rozumiecie, że chodzicie w stryczku?! A partyi zależy na was. My nie pozwalamy na bezpotrzebną śmierć, dziś wyjedziecie i koniec.

— Bolku... proszę was — zaczęła Olga — dziś jedźcie... pomogę wam... wszystko zrobię, tylko wyjedźcie.

— Jeśli już tak nalegacie, to dobrze... i tak na razie nie mogę organizować, bo pochwycą mnie... przyjadę wkrótce.

— Nareszcie! — uśmiechnął się zadowolony Komar — otóż w Sosnowicach zajdziecie do naszego towarzysza, znacie go przecież...

— Wiem... on mnie przeprawi i to wiem... a mogę wam tu oddać papiery?

— Tu?... Zaczekajcie chwilę, uwolnię się z biura, aby schować bezpiecznie te papiery.

Gdy wyszedł, Olga patrząc mu w oczy, spytała:

— Bolku, pojedziesz dzisiaj?

— Dzisiaj? Nie wiem czy zdążę... może nocnym pociągiem.

— Ale napewno?

— Wyjadę, kiedy tak napieracie oboje, chociaż mojem zdaniem najpewniejszy jestem w Warszawie. Przemienię sobie kolor włosów, ubranie, dostanę paszport tutejszy... i będę pracował... będę widział ciebie, jeśli nie codziennie, to często. Jaki jednak ten Walczak szczęśliwy! — westchnął — mieszkają razem z Heleną i mogą się kochać, całować, ściskać...

— Czy chciałbyś, abym była w położeniu Heleny? — uśmiechnęła się.

— Co to, to nie.. chociaż w ten sposób zmusilibyśmy ojca do pozwolenia.

— Wyrzekłby się mnie... znam go... zresztą mówiliśmy już o tem z sobą... Może uległabym twoim prośbom, ale byłabym nieszczęśliwą.

— Daruj mi, głupstwa gadam, ale jestem dziś taki rozdrażniony...

Wszedł Komar z uśmiechem:

— Jestem wolny... możemy iść.

Bolek podszedł do wieszadeł w głębi i narzucił płaszcz na siebie, wziął czapkę w rękę.

— Ach! W ten sposób!? — zaśmiał się Komar — i „russki" cię uratował?

— Nie... to Polka.

Olga spojrzała wymownie na niego i szepnęła:

— Ona?

— Tak jest.

— Jedź w tem przebraniu, nikt cię nie pozna... doskonały pomysł.

— Płaszcz i czapkę muszę dziś odesłać... przyrzekłem.

— Więc kup sobie... Towarzyszko, dopilnujcie tego i jego wyjazdu, bo przecież i wam zależy na nim.

— I bardzo nawet — uśmiechnęła się.

Gdy szli sami ulicą, mówiła Olga:

— Dziś o dziewiątej wieczorem wyjedziesz. Bolku. Dobrze, mój jedyny?

— Niech i tak będzie... dam ci adres, pisuj często i dużo.

— Będę ci donosiła o wszystkiem. Idź teraz do Heleny, przyślę do niej płaszcz, czapkę i potrzebne rzeczy.

— Nie kupuj... to wzbudzi podejrzenie... sam zajdę do sklepu.

— I znów się narazisz... to chyba pójdę z tobą jako żona — uśmiechnęła sie.

— Siadajmy w dorożkę... mniej mnie widać, aniżeli pieszo.

Gdy załatwili pomyślnie sprawę ubrania, radziła Olga:

— Idź, a raczej jedź wprost do Heleny, czekaj na mnie... ani kroku nie zrobisz z mieszkania, póki nie przyjdę, czy mi przyrzekasz?

— Mogę, bo jestem senny, oka nie zmrużyłem.

— Bolku... tylko mów prawdę — zarumieniła się — czy ta... czy ona piękna? ponętna?

— Dosyć ładna... ale rola Józefa u Putyfary więcej kosztowała go zapewne, aniżeli mnie.

— Czy napewno?

— Jak ciebie kocham.

— Wierzę ci... Ona z miłości dla ciebie musiała Cię uratować... biedna dziewczyna — westchnęła.

— Nie tylko z miłości to zrobiła, ale i z nienawiści do Bolcewa.

— Tem więcej godna współczucia.

— Do widzenia, mój drogi

Wieczorem, po ósmej przyszła Olga z torbą podróżną w ręku.

— Czy i ty jedziesz? — zaśmiała się Helena.

— Może... a właściwie jadę.

— Wy Olgo?! — zawołał Bolek zdziwiony — Ależ wam nie wolno, dopiero po chorobie.

— Lekarz mi pozwolił.

— A ciotka?

— Poszła z mężem na premierę do teatru, i również pozwoliła, gdyż mam się spotkać ze stryjem w bardzo ważnej sprawie.

— Wy? Gdzie? W jakiej sprawie?

— W Sosnowicach, jutro w południe, a co do sprawy, nie ma szczegółów w depeszy.

— I to prawda? — wątpił Bolek.

— Jadę, czy wam tak źle ze mną?

— Aha, rozumiem — zawołał Bolek ze śmiechem — sami napisaliście depeszę. Wstydźcie się tak oszukiwać...

— Wy przywłaszczacie sobie mundur i czapkę, a nie robię wam zarzutów — zaśmiała się.

— Ja w obronie życia.

— I ja tak samo. Nie miałabym chwili spokojnej, póki nie byłabym pewna, że jesteście za granicą. Zobaczę i wrócę uspokojona.

— Ja ciebie rozumiem — zawołała Helena, gdy Bolek całował ręce Olgi.

— Na dworcu nie zbliżajcie się do mnie, siadamy zupełnie oddzielnie, będę za gęstą woalką, ale Bolcew może mnie poznać.

— Radzę ci nie wsiadać z peronu — rzekł Walczak — ale wejdź ze szyn. Próbowałem kilka razy tego sposobu z dobrym skutkiem.

Nareszcie wsiedli niepostrzeżeni do pociągu i już od Pruszkowa jechali w jednym przedziale.

Przejścia ostatnich dni, smutne skutki manifestacyi, plany na przyszłość dostarczyły im aż nadto tematu, aż do samych Sosnowic.

Umówili się, że Olga w sali bufetowej na dworcu będzie czekała na powrót Bolka, który wyszuka towarzysza i otrzyma od niego pożądaną przepustkę.

Żalecki przeszedł śmiało przez wielką sień oddzielającą peron od wyjścia z dworca, zapełnioną jak zwykle żandarmami i pachołkami z komory i poszedł do miasta.

Nie wiedząc, gdzie jest ulica Dąbrowiecka, spytał jednego z przechodniów po polsku.

Zapytany wskazał mu, i następnie w pewnem oddaleniu zaczął go śledzić. Widział jak Żalecki pytał to jednego, to drugiego przechodnia o jakieś wskazówki... a po pewnym czasie zwrócił się w stronę fabryki szkła i widocznie zawahał się przed wejściem, a może zauważył coś innego, dość że zaczął błądzić bez celu po mieście.

To zachowanie umocniło podejrzenie ajenta, którego najpierw uderzyło to, że urzędnik w mundurze mówił do niego po polsku.

A gdy po długich wędrówkach Żalecki nawrócił na tę ulicę, o którą pierwotnie pytał, i nie zastawszy towarzysza, szedł na dworzec kolei, ajent wyprzedził go i zawiadomił oficera żandarmskiego o powziętem podejrzeniu.

Żalecki bez cienia obawy, nie przeczuwając nic złego, zbliżał się do dworca. W oknie długiego kurytarza dojrzał zaniepokojoną o niego Olgę, uśmiechnął się do niej porozumiewawczo, i otrzymawszy skinienie głową, po schodach szedł na dworzec.

W drzwiach spotkał się z podoficerem żandarmów, który uprzejmie poprosił go do kancelaryi oficera.

W tej chwili dwóch żandarmów stanęło po jego bokach, i Olga widziała, jak zaprowadzono go do kancelaryi.

Zbladła, zachwiała się, i z ogromnym wysiłkiem nakazała sobie spokój i rozwagę.

Tu żadne płacze, szaleństwa, szamotania nie pomogą, trzeba obmyśleć ratunek. Wróciła do poczekalni drugiej klasy, damskiego przedziału, i będąc sama, zaczęła przemyśliwać nad sposobami ratowania Bolka.

Poczuła wielką gorycz do losu, do przeznaczenia, że zaledwie o kilometr leżała zbawcza granica, i właśnie w chwili niemal pewnego uratowania, pochwycili go żandarmi.

Łzy gorące, spieczone, polały się z jej oczu bezwiednie, zostawiając na bladej twarzy zaczerwienione pręgi.

Nawet ich nie ocierała z oczu błyszczących gorączkowo.

Najpierw musi się dowiedzieć, co się z nim stało? co z nim zrobią? W drzwiach natknęła się na usługującą kobietę niemłodą.

— Czy wy Polka?

Zagadnięta spojrzała zdziwiona:

— Ja?... katoliczka.

— Zbliżcie się... zamknijcie drzwi... Czy wy zamężna? — a na znak potakujący — zapewne kochacie męża, bo macie twarz dobrą, spokojną..

— Juści że kocham... Chwała Panu Bogu, żyjemy już ze sobą trzydziesty rok. Chłop jak każdy chłop, swego czasu hulał trochę, ale to z młodości, teraz stateczny i dzieci mamy...

— Poratujcież mnie w nieszczęściu... mego męża schwytali przed chwilą żandarmi...

— A... tego młodego, w mundurze?

— Tak jest.

— Nic mu nie będzie — uśmiechnęła się — swój swemu krzywdy nie zrobi, puszczą go, uspokój się pani.

— Ależ on nie jest urzędnikiem, wziął tylko płaszcz i czapkę... znajomego.

Kobieta spojrzała badawczo, a widząc bladą, przerażoną twarz Olgi:

— Rozumiem... Wszystko w ręku Boga... że też tu na samej już granicy... Cóż mam zrobić? Gadajże pani...

— Dowiedzcie się, gdzie jest? co z nim zrobią? za co go wzięli?

— Ano już wiem... pójdę do niego, naradzę się... czekaj pani... tylko cicho, nie płacz pani, nie zwracaj uwagi na siebie... módl się pani... przyjdę.

Tymczasem Żalecki zaskoczony przez żandarma, idąc do kancelaryi, rozstrzygał kwestyę, czy poznano go, czy też tylko podejrzywano i o co?

W biurze zastał oficera siedzącego przy stoliku, który grzecznie się odkłonił i spytał po rosyjsku:

— Czy ma pan paszport... urlop... dokument jakikolwiek?

— Nie... Przyjechałem z Grodziska tylko do pociągu przychodzącego z Katowic, czekam na krewnych.

— Nazwisko pana?

— Iwan Gawryłowicz Petrow.

Zapisał:

— W jakim urzędzie?

— Kancelarya naczelnika powiatu.

— Hm... ta jest w Błoniu, a pan z Grodziska.



Nareszcie dano znać, że pociąg się zbliża. Olga widziała, jak na sam koniec peronu wyprowadziło trzech żandarmów Bolka...

— Delegowany chwilowo.

— No tak... być może... a kogo pan szukał na ulicy Dąbrowieckiej?

Zawahał się, nie może przecież zdradzić towarzysza i aby przedłużyć:

— Jednego znajomego.

— Jego nazwisko?

— Znam tylko imię... Kazimierz, urzędnik górniczy, i mówił, że mieszka trzeci dom od rogu.

— To dziwne — uśmiechnął się oficer — nazwiska pan nie znał.. szukał pan... trzeci dom od rogu? tak?

— Tak mi powiedział.

Oficer nacisnął dzwonek i do żandarma:

— Zawołaj Stauba.

Wszedł ajent z niskim ukłonem.

— Do którego domu ten pan zachodził?

— Do domu Fleiszrota, a potem do Biermana i Szajera.

— Dom Fleiszrota daleko od rogu?

— W samym środku ulicy... może dziesiąty, może jedenasty.

— Słyszy pan... w trzecim pan nie był Czego pan zaglądał do fabryki szkła?

— Tak, przez ciekawość, ale nie wszedłem.

— Wiem... czy nie może pan sobie przypomnieć nazwiska znajomego tutejszego?

— Nie, i dlatego trudno mi było znaleźć.

— Ma pan tu znajomych, którzyby poręczyli za pana? znali pana?

— Nie... nikogo.

Oficer skinął na ajenta, aby się oddalił a gdy ten wyszedł, dodał z uśmiechem:

— Pan wydaje mi się podejrzany, nie mogę uwolnić pana, ale też jako urzędnika nie chcę trzymać w areszcie. W tym pokoju zaczeka pan do pociągu, jeśli pan głodny, żandarm przyniesie panu z restauracyi. Pieniądze ma pan?

— Trochę się znajdzie.

Oficer umilkł, patrzał na stół zawalony papierami, czytał coś, z pod oka patrzał na Żaleckiego i nagle spytał:

— Nazwisko pana. Żalecki? Tak?

— Nie... Iwan Gawryłowicz Petrow.

— Jednak... pan prawosławny?

— Tak jest.

— Hm... dziwne podobieństwo, ale zdarza się... Zadzwonił na podoficera: — Oddaję pod twoją straż pana Iwana Gawryłowicza Petrowa... do pociągu warszawskiego tu zostanie... odprowadzisz pod strażą, do ostatniego wagonu, tylko bez zwrócenia uwagi publiczności, bo to urzędnik, i pojedziesz z nim ty i Fiodor Pawłowicz do samego Grodziska, tam będą rozkazy.

— Rozumiem.

Oficer wstał, skłonił się grzecznie i wyszedł.

Żalecki został w towarzystwie żandarma. Na razie nie tyle obchodziło go jego położenie, tylko co Olga robi, jak przyjęła widok aresztowania? Co zamyśla? Czy nie popełni szaleństwa? Czy nie skompromituje się?

Spojrzał na żandarma, wydał mu się dobrym, ale powstrzymał się ze zwierzeniem i posłaniem do Olgi, gdyż jeśli dowiedzą się, że on Żalecki, a jest wszelkie prawdopodobieństwo za tem, narazi Olgę na rewizyę i więzienie, bo napewno znajdą zakazane broszury, papiery, a może i rękopisy „Wolności“.

Siedział i raczej z nudów, aniżeli z głodu, kazał sobie przynieść jedzenie.

Żandarm zadzwonił i powiedział innemu o żądaniu więźnia.

Godzina za godziną mijała, każda niemiłosiernie długa i Bolek miał czas obmyśleć różne sposoby ucieczki. Przyszedł wreszcie do przekonania, że każda ucieczka, chociażby z największem narażeniem życia, jest lepsza, aniżeli męka więzienia i stryczek. Postanowił korzystać z każdej sposobności, któraby przedstawiała chociaż cień powodzenia, a w ostateczności skoczyć z wagonu i zabić się na miejscu.

Olga uwiadomiona o wyroku oficera, przeżywała godziny trwogi i cierpień. Postanowiła wracać do Warszawy tym samym pociągiem, który zabierze Bolka i zaopatrzywszy się w bilet, przepłaciła portyera, aby jej pozwolił wyjść wcześniej na peron.

Nareszcie dano znać, że pociąg się zbliża. Olga widziała, jak na sam koniec peronu wyprowadziło trzech żandarmów Bolka. Dwóch po bokach, jeden za nim, wszyscy mniej więcej o krok od niego, tak że mało kto zauważył więźnia.

Oczy Olgi i Bolka spotkały się i powiedziały sobie swą miłość, rozpacz, boleść.

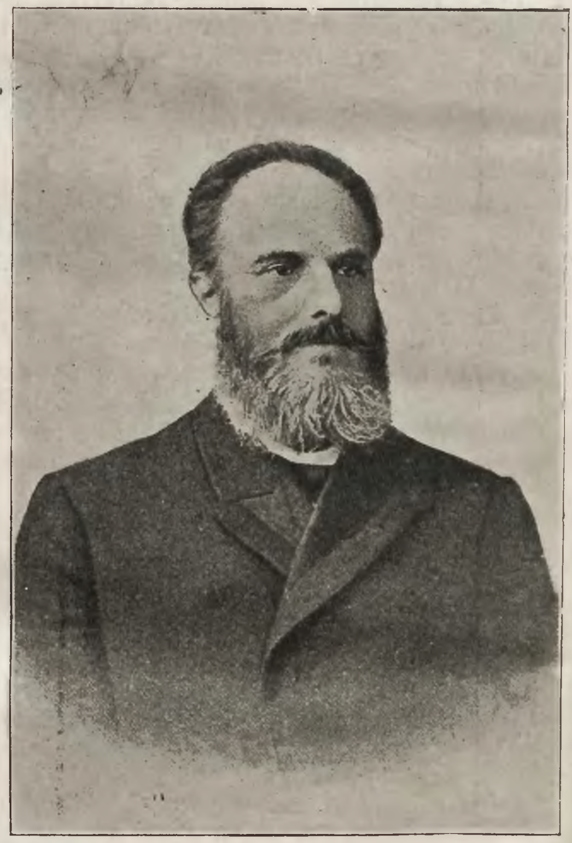
(Ciąg dalszy nastąpi).

Więzień Schlüsselburski.

Przypominają sobie Czytelnicy nasi, że przed kilku tygodniami, gdy się rozeszła z Petersburga wiadomość, iż słynna twierdza Schlüsselburska nad jeziorem Ładoga przestanie być więzieniem politycznem, pisaliśmy o tych ponurych kazamatach i podaliśmy illustracye z tego pono najstraszniejszego więzienia. Obecnie doniosły dzienniki kilkakrotnie, że więźniów stanu, tam przebywających, a których liczba od czasu istnienia Schlüsselburga nigdy nie była tak znaczną, jak od chwili zapanowania reakcyi rządowej, tłumiącej obecnie objawy ruchu rewolucyjnego w Rosyi, wywożą teraz stamtąd do innych fortec. W poprzednim numerze zamieściliśmy portret śp. Wolkensztajnowej która spędziła w murach Schlüsselburskich trzynaście lat życia. Niewielu więźniów zdołało wytrwać tak długo w kaźniach tej twierdzy: i trzeba było na to zbyt silnego zdrowia. Rzadko się w ogóle zdarzało, by przestępca polityczny, który tam się dostał, opuszczał Schlüsselburg z życiem. Najczęściej grób tam znajdował wieczny, jak w ogóle grobem stawało się ponure życie w murach tej fortecy nad Newą, bezkreśnem jeziorem otoczonej. Kto jednak miał dość sił na przetrwanie tak srogiego więzienia, ten młodzieńcem tam wszedłszy, wychodził starcem, choćby już po kilkunastu latach. Mamy właśnie sposobność pokazania Czytelnikom fotografii jednego i tego samego człowieka przed uwięzieniem i po uwolnieniu. Jest to więzień stanu Łukaszewicz, który teraz opuścił Schlüsselburg, przeżywszy tam długich lat ośmnaście. Wystarczy spojrzeć na fotografie, żeby się upewnić, iż własna rodzina nie poznałaby tego człowieka, którego pożegnała młodzieniaszkiem, gdy go nad Łodygę wywieziono, a odzyskała dziś starego człowieka po 18 latach.



Więzień Schlüsselburski: Fotografia więźnia stanu Łukaszewicza z przed 18 laty, przed zamknięciem go w twierdzy w Schlüsselburgu.



Więzień Schlüsselburski: Fotografia tegoroczna więźnia stanu Łukaszewicza, po wypuszczeniu go po 18 latach z twierdzy w Schlüsselburgu.

Gdzie Kościuszko kupował lekarstwa?

Drobnostka to wprawdzie, ale wszak miło wiedzieć — wstępując do apteki po jakieś proszki — że w tym samym sklepie kupował leki... Naczelnik Kościuszko... A jest właśnie taka apteka w Krakowie. Nazywa się „pod białym orłem", a mieści się w Rynku na linii A—B, w jednym z najpiękniejszych domów, który Krakowianie pokazują każdemu przejezdnemu, jako jedną z tysiąca naszych starych osobliwości, dodając: Tu mieszkał na drugiem piętrze Tadeusz Kościuszko. Oto tablica, która to poświadcza...

Wszak poznajecie ten dom na naszej rycinie. A jednak nie każdy z Was wiedział, że i apteka na dole jest tutaj osobliwością nielada. Więc posłuchajcie. W piętnastym wieku powstała przy krakowskim klasztorze Karmelitów apteka, która



Zdjęcie własnym aparatem „Nowości Illustr."
Gdzie Kościuszko kupował lekarstwa: Dom w Rynku krakowskim, z istniejącą bez przerwy przez lat 300 w tym samym sklepie apteką, której klientem, jak świadczy archiwum, był Kościuszko, gdy mieszkał tu na II. piętrze.

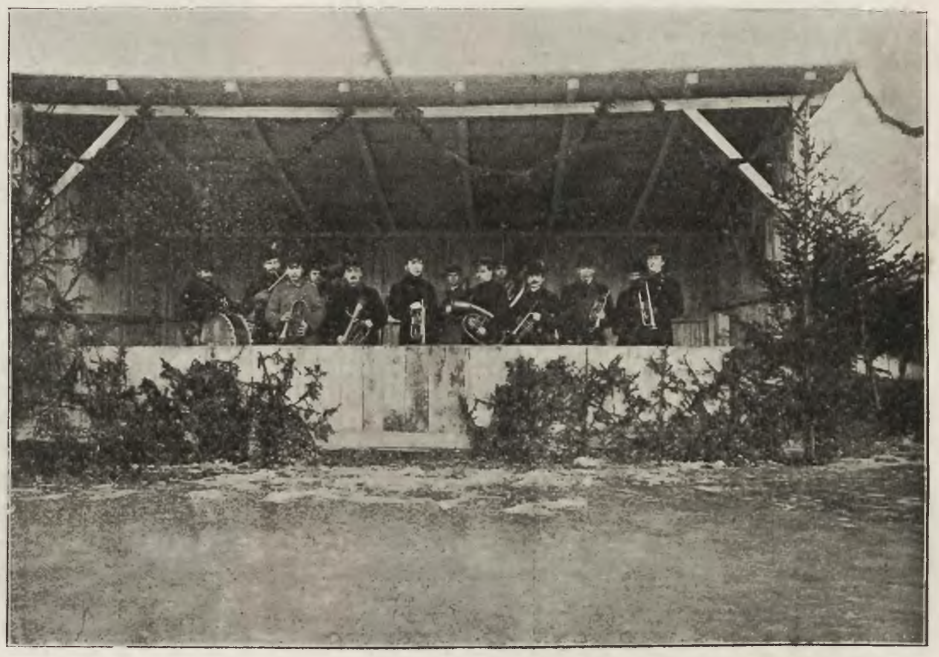


Specyalne zdjęcie fot. własnym aparatem „Nowości Illustrowanych".
Emigranci rosyjscy w Krakowie: Oczekujący na rozdanie zapomóg na ul. Zielonej, tłum żydowskich emigrantów z Rosyi, przebywających od pewnego czasu w Krakowie, a wyjeżdżających wkrótce do Argentyny.

w 1603 r. przeniosła się do Rynku i od owego czasu do dnia dzisiejszego, a zatem przez trzysta i trzy lata mieści się bez przerwy w tym samym domu i w tym samym lokalu, zawsze pod godłem orła białego. Słuchajcież dalej. Apteka ta staroświecka posiada swoje archiwum, a właściciele z chlubą pokazują księgi, z których wynika, że klijentem pobierającym z tej apteki lekarstwa, był między innymi także nasz bohater, Tadeusz Kościuszko, w czasie gdy mieszkał w tym samym domu na górze nad sklepem.



Z niewoli do Ojczyzny: Grupa marynarzy rosyjskich powracających z niewoli japońskiej do Europy.



Fot. Cz. Kulewski, Warszawa.

Sami na siebie: Orkiestra studencka, grywająca stale na ślizgawce na placu Wareckim w Warszawie.

* * *

Obecnie historyczna ta apteka jest własnością p. Maryana Doskowskiego.

Emigranci rosyjscy w Krakowie.

Przed jednym z domów na ulicy Zielonej w Krakowie, jak widzi Czytelnik obok na fotografii naszej, zebrał się liczny tłum ludzi obcych, o typach nieznanych zazwyczaj na naszym bruku. To żydowscy emigranci z Rosyi, którzy pouciekali przed pogromem w czasie strasznych dni Kijowa, Odessy i innych miast Ukrainy, Podola, Wołynia, Litwy, to znów hen z głębi Rosyi, podczas wielkich buntów wojskowych, podczas ognia rewolucyi czy też w czasie gospodarki czarnych sotni. Ludzie ci, szczęśliwi, że z życiem uszli, tułają się dziś, biedni, po świecie. Gdzie ich nie ma! Co trochę czytamy w dziennikach, że w jakiemś mieście, jak np. świeżo w Wiedniu, tłum ich burzył się przed lokalem stowarzyszenia, z którego nie mógł dostać zapomogi, gdyż w kasie wyczerpały się już doszczętnie fundusze na te cele zebrane. I istotnie wszelakim instytucyom trudno już nastarczyć, takie mnóstwo uciekinierów z Rosyi zgłasza się do nich ciągle, a wszyscy są w niedostatku widocznym. Podobnie było właśnie przed tygodniem w Krakowie, lubo rozżalenie zgromadzonych było znaczne, gdy powiedziano im, że zabrakło już funduszów na wypłatę oczekiwanej zapomogi. Ludzie ci od pewnego czasu mieszkają w Krakowie nader licznie, gubiąc się przeważnie w zaułkach Kazimierza, gdzie w najnędzniejszych izdebkach gnieździ się ich po kilkanaścioro. Opiekują się nimi żydowskie stowarzyszenia dobroczynne i specyalny komitet pomocy dla emigrantów z Rosyi. Wszyscy, których widzimy na załączonej fotografii, wyjeżdżają teraz do Argentyny,

Z niewoli — do ojczyzny.

Grupa fotograficzna, której reprodukcyę dajemy tu obok, przedstawia marynarzy rosyjskich: jako jeńcy w czasie ostatniej wojny na Dalekim Wschodzie dostali się oni do Japonii, a teraz uwolnieni, wracają okrętami do Europy, żeby jechać do ojczyzny. Czekają na nich stęsknione rodziny, które niejednego ze swych junaków opłakiwały już jako straconego. W japońskiej niewoli, jak wiemy z listów niektórych jeńców, źle im nie było, ale któż nie odczuje, z jaką mimo to radością ludzie ci wysiadali na ląd z okrętów i biegli ku dworcom kolejowym, skąd pociągi mają ich odwieźć do domu, po tylu miesiącach tułaczki na obcych ziemiach, po tak strasznych trudach wojennych i z niewoli wreszcie na swobodę.. Nasza fotografia to właśnie jeden z takich obrazków z portu. A wśród tych marynarzy, świadków i uczestników wielkich bitew historycznych, może niejeden jest naszym rodakiem, może w nasze wraca strony. Nikt z nich nie przeczuwa, co w domu zastanie, co go tam czeka niebawem w tych czasach niezwykłych.

A jednak rad wraca
od obcych do swoich.



Król obłoków: Ludwik Sabaudzki, książę Abruzzów, znany ze swej słynnej wyprawy do bieguna północnego, a wybierający się teraz do środkowej Afryki dla dostania się na szczyt góry Ruwenzori zwany „Król obłoków“.

Król obłoków.

Jest w środkowej Afryce łańcuch gór, długi na przeszło 50 kilometrów. najeżony trzydziestu szczytami olbrzymiej wysokości, który do dziś dnia nie został jeszcze zbadany. Główny przedmiot ciekawości podróżników i badaczy tego łańcucha stanowi tajemnicza góra Ruwenzori, zwana przez murzynów „królem obłoków“, a raczej jej szczyt, na którym jeszcze nigdy nie stanęła noga ludzka, chociaż usiłowań w tym kierunku nie brakło. Najsłynniejsi podróżnicy, jak Baker, Stanley i Elliot pomimo najenergiczniejszych usiłowań nie zdołali się nawet zbliżyć do płaskowzgórza, stanowiącego poziom niezbadanego łańcucha gór. Jedynie Elliot w roku 1893 dotarł po czterech miesiącach do wysokości 3900 metrów, ale wrócił do Europy, nie dokonawszy zadania. Stanley zbliżył się także do tajemniczej góry Ruwenzori, ale nie mógł już podjąć wyprawy na samą górę i opisał tylko to, co widział z daleka. Sam szczyt Ruwenzori, ów dumny „król obłoków“ pozostaje do dziś dnia tajemnicą nawet dla oka ludzkiego, gdyż prawie przez cały rok, mniej więcej przez trzysta dni, zasłonięty jest gęstemi chmurami. A szczyt to jeden z najwyższych na świecie, według Elliota 5500 metrów wysoki.

Do tego szczytu dotrzeć, dokonać tego, co się nie powiodło Elliotowi, ani Stanleyowi, postanowił słynny podróżnik włoski, książę Abruzzów, Ludwik Sabaudzki, głośny badacz bieguna północnego i gór Alaski. Skoro wieść o jego zamiarze rozeszła się po świecie, zaczęli się ze wszystkich stron zgłaszać do znakomitego podróżnika najrozmaitsi ama-



Fot. Cz. Kulewski, Warszawa.

Stan wojenny w Warszawie: Południowa zmiana warty na stopie wojennej przed głównym odwachem na placs Saskim (róg Krakowskiego Przedmieścia).

torzy wrażeń, między którymi nie brakło i żądnych przygód przedstawicielek płci pięknej, chcących wziąć udział w ekspedycyi. Książę odmówił jednak wszystkim ze względu na to, że tak trudna wyprawa udać się może jedynie nielicznej grupie osób. Zabiera on ze sobą niemal tylko tych, którzy mu towarzyszyli w dwóch poprzednich wyprawach, do góry św. Eliasza w Alasce i do bieguna, między nimi trzech najdoświadczeńszych przewodników alpejskich. Wyprawa ta ma kosztować 300 tysięcy lirów. Ściśle naukowego charakteru podróż mieć nie będzie, owocem jej zaś będzie nowa książka, opatrzona w ryciny, według fotografii, zrobionych w czasie wyprawy przez fotografa Bottę, który należy do członków ekspedycyi.

Wyprawa księcia Ludwika, którego portret dziś zamieszczamy, wyruszy w połowie kwietnia na specyalnie w tym celu najętym statku ze Specii przez Port Said do morza Czerwonego, mianowicie do portu Mombaza. W Mombazie do karawany włoskiej przyłączy się eskorta murzynów, która ją odprowadzi aż do stóp Ruwenzori. Tam murzyni, jako nie wytrzymali na zimno, dochodzące do 20°, zatrzymają się, a tylko Włosi pójdą w dalszą drogę. Według obliczeń, wdrapanie się na Ruwenzori przypadnie w miesiącu czerwcu. A więc za kilka miesięcy tajemniczy „król obłoków“ ugnie dumnego czoła pod stopami księcia Abruzzów.



Inflanty w ogniu: Przed karczmą przydrożną, stanowiącą kwaterę dowódcy, oddział ekspedycyi egzekucyjnej zdaje raport o spaleniu wsi łotewskiej, w której natrafiono na ślady ruchu rewolucyjnego.

Sami na siebie.

Fotografia młodzieńczej orkiestry przygrywającej codziennie na ślizgawce, przy placu Wareckim w Warszawie położonej: obraz, pozornie jakich wiele; a jednak godzien jest illustracyi ze względu na wymowny przykład samopomocy uboższej uczącej się młodzieży. Młodociana ta orkiestra składa się bowiem z samych uczniów konserwatoryum muzycznego oraz gimnazyalnych, bardziej w grze instrumentalnej już posuniętych. W ten sposób młodzi ci a pozbawieni środków na kształcenie się uczniowie zarabiają sami na siebie i na swoich kolegów, grając codziennie za stosowną zapłatą na ślizgawce.

Pieniądze w ten sposób uczciwie zapracowane obraca specyalny zarząd na zapłacenie potrzeb uczniowskich, jak opłatę szkolną, książki, odzież, żywność itp., skutkiem czego ani młodzież sama nie potrzebuje się uciekać do dobroczynnej ofiarności publicznej, ani też nikt za nią nie potrzebuje prosić po pismach i składkować po domach.

Praca żadna nie uchybia nikomu, a tak mądrze i szlachetnie pojęta samopomoc zaszczyt przynosi młodzieży samej. *B-t*



Inflanty w ogniu: Na jednej z ulic Rygi patrol wojskowy zatrzymał przechodnia, sprawdza jego legitymacyę i szuka broni, której nie wolno nikomu nosić w czasie stanu wojennego w krajach Nadbałtyckich.

Stan wojenny w Warszawie.

Wprawdzie nie brak już wieści o rychło mającem nastąpić zniesieniu stanu wojennego w Warszawie, nie brak nawet codziennej plotki, iż już poczyniono stosowne ku temu zarządzenia, a jednak tak cierpliwie oczekiwane odwołanie zawodzi, chociaż od dwu już tygodni nie zaszedł żaden gwałtowniejszy wypadek ni objaw rewolucyjny. Toteż trwają w dalszym ciągu rygory stanu wojennego z przeciągającymi miasto całe patrolami wojskowymi, ku czemu codziennie na zmianę przeznaczane są większe oddziały pułków piechoty z odpowiednimi rozkazami dla dowódców i oficerów. Oddziały te przybywają każdego dnia o godz. 10-ej przed główną strażnicę przy placu Saskim, czasami z orkiestrą pułkową, gdzie odbywa się przegląd, wymiana posterunków, poczem nowe oddziały rozchodzą się po mieście na swoje miejsca przeznaczenia, dawne zaś zluzowane odchodzą do koszar.

Poza stanem wojennym wygląda to tak samo niepokaźnie jak zmiana przy odwachach krakowskim lub lwowskim, gdzie przybywa tylko mały oddział z dwudziestu kilku ludzi złożony. To też codzienny obraz większego nagromadzenia wojska przed główną strażnicą, jaki przedstawia załączona tu illustracya, ma zawsze i tłum ciekawych w asyście, który czeka spokojnie tak długo, dopóki zmiana nie zostanie dokonaną. Obraz ten zniknie z chwilą zniesienia stanu wojennego na powrót, tymczasem jednak stanowi aktualność codzienną, zasługującą na illustracyę. *Bejot.*

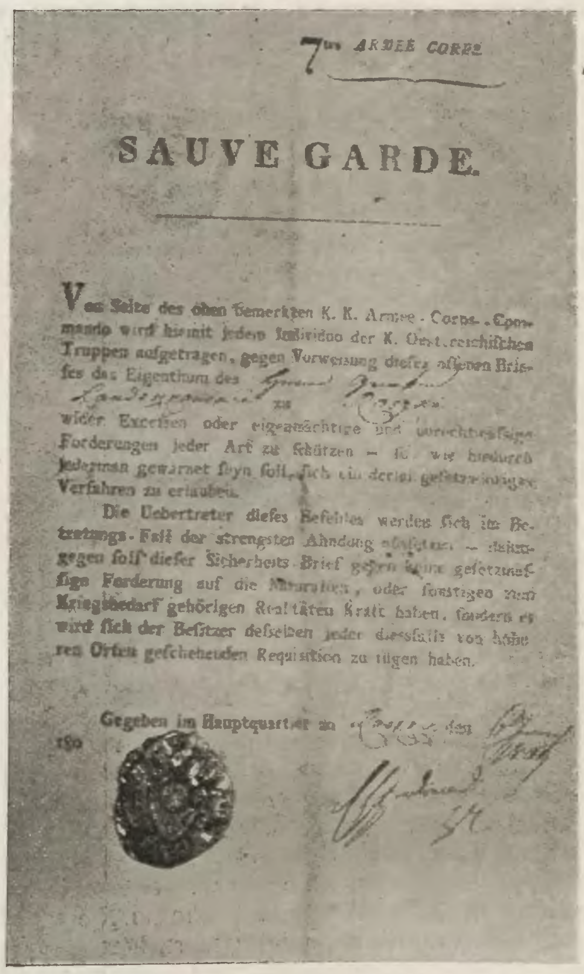
Inflanty w ogniu.

Już się zdawało, że spokój zapanowuje w krajach Nadbałtyckich. Dochodziły wieści z Inflant, z Kurlandyi, że na skutek groźnego postępowania ekspedycyj egzekucyjnych, poznikały naraz objawy wrzenia rewolucyjnego i ustała działalność komitetów powstańczych, z których tylu wszak rozstrzelano po wsiach i miastach prowincyj Nadbałtyckich. Tymczasem zdaniem tak poważnych informatorów, jak dziennik „Ruś“ — wyprawy jenerałów Sułłohuba, Orłowa, Bezobrazowa, oraz różnych von Sieversów, zrobiły poniekąd fiasko zupełne. Nie ustaje bowiem ruch rewolucyjny — mimo masowych rozstrzelań, mimo niszczenia ogniem całych wsi. Na terror odpowiadają Łotysze terrorem. Toteż ani na dzień nie ustają na wszystkie strony zamachy w tym rodzaju, jak napad na ks. Putianina, który ma być ciężko ranny.

Podobno tajemniczy Maksym, o którym to przed tygodniem pisaliśmy obszerniej, a który był gło-



Inflanty w ogniu: Warta wojskowa, która pilnuje, żeby nie ratowano płonących domostw rewolucyonistów we wsi łotewskiej, niszczonej ogniem przez ekspedycyą karną.



7me ARMEE CORPS

SAUVE GARDE.

Von Seite des oben bemerkten K. K. Armee-Corps-Commando wird hiemit jedem Individuo der K. Oesterreichischen Truppen aufgetragen, gegen Vorweisung dieses offenen Briefes das Eigenthum des

zu

wider Excessen oder eigenmächtige und unrechtmäßige Forderungen jeder Art zu schützen — so wie hiedurch Jedermann gewarnet seyn soll, sich ein dergleichen gesetzwidriges Verfahren zu erlauben.

Die Uebertreter dieses Befehles werden sich im Betretungs-Fall der strengsten Ahndung aussetzen. — dahingegen soll dieser Sicherheits-Brief gegen keine gesetzmäßige Forderung auf die Naturalien, oder sonstigen zum Kriegsbedarf gehörigen Realitäten Kraft haben, sondern es wird sich der Besitzer desselben jeder diessfalls von höheren Orten geschehenden Requisition zu fügen haben.

Gegeben im Hauptquartier zu den 180

Z księgi pamiątek: List żelazny, wydany przez wojskową władzę austryacką właścicielowi majątku Roszki w Galicyi hr. Lanckorońskiemu, a gwarantujący mu bezpieczeństwo w czasie wojennym. (Fot. inż. H. Szall w Stanisławowie, ze zbiorów ś. p. Krzemienieckiego).

wnym przywódcą rewolucyi łotewskiej — obiecał teraz spalić wszystkie zamki niemieckich baronów nadbałtyckich i te wszystkie zarządy gminne, dokąd powróciły dawne władze administracyjne.

Podaliśmy już liczne illustracye do rewolucyi w krajach nadbałtyckich i niemało rycin do sprawy tłumienia ruchu zbrojnego w tych prowincyach. Fotografie jednak nadchodzą w dalszym ciągu. Dziś z tej seryi zamieszczamy znowu kilka illustracyj.

Jedna z nich przedstawia pożar wsi łotewsko-estońskiej na Inflantach, niszczonej ogniem i mieczem za karę przez oddział egzekucyjny.

Druga rycina, mniejsza, daje obraz przedziwnego spokoju, z jakim straż wojskowa patrzy na płonące domostwa za płotem: z karabinami postawiono tu dwóch żołnierzy na warcie, żeby nie dopuścili ze wsi nikogo do ratowania zagród w ogniu, całe sioło bowiem musi spłonąć na rozkaz dowódcy ekspedycyi karnej, który natrafił wśród jego mieszkańców na ślady buntu.

Dalej na trzeciej rycinie widzimy oddział wojskowy, który taką misyę już spełnił i przyszedł zdać raport o tem dowódcy, stojącemu kwaterą w przydrożnej karczmie, skąd widać zdala dymiące tylko zgliszcza wsi sąsiednich.

Wreszcie czwarta illustracya, większa, przenosi nas do stolicy nadbałtyckiej: na jednej z ulic miasta Rygi, patrol wojskowy o wieczornej porzę zatrzymuje przechodnia, sprawdza jego legitymacye i rewiduje — szukając broni, której pod żadnym warunkiem, według przepisów stanu wojennego, nikomu nie wolno mieć przy sobie.

Z księgi pamiątek.

W wiernej reprodukcyi fotograficznej zamieszczamy powyżej znowu podobiznę zajmującego dokumentu, który pochodzi z tej samej epoki i nawet z tego samego roku 1809, co podany przez nas w poprzednim tygodniu dekret nominacyjny z ministerstwa wojny ówczesnego Księstwa Warszawskiego z własnoręcznym podpisem księcia Józefa Poniatowskiego.

Dziś podany tutaj akt mimo języka niemieckiego, w jakim go wydano przed wiekiem, obchodzi nas jednak niemało, jako wspomnienie historyczne.

W owym czasie (dokument, jak powiedzieliśmy, nosi datę roku 1809) część dzisiejszej Galicyi stanowiła podstawę operacyjną dla wojsk austryackich, toczących wojnę z armią Księstwa Warszawskiego, zostającą pod naczelnemi rozkazami księcia Józefa Poniatowskiego.

Znane to dzieje — epoka Napoleońska, więc niema potrzeby szerzej o nich tu się rozpisywać.

Dość, że czasy to były niesłychanie burzliwe i niepewne, więc nie dziw, że nikt nie był pewny życia ni mienia. W obawie tedy byli właściciele ziemscy w tych okolicach, w których co chwila zjawiały się oddziały wojskowe. Rabunki były na porządku dziennym. Więc chcąc się ich ustrzedz, obywatele galicyjscy wyrabiali sobie tak zwane listy żelazne od komendy wojskowej. Właściciel takiego listu miał gwarancyę na piśmie, że ani jemu, ani jego majątkowi, nic się złego stać nie może.

Takim właśnie listem żelaznym był dokument tutaj reprodukowany dziś przez nas: wydany on został przez komendę 7-go korpusu armii austryackiej, której kwatera chwilowo znajdowała się wtedy w Roszkach. Właścicielowi tego majątku, hrabiemu Lanckorońskiemu, wojskowa władza gwarantowała tym listem bezpieczeństwo życia i mienia.

Kto czytał kroniki ówczesnych wybryków oddziałów wojskowych, jakich te się dopuszczać zwykły za przybyciem do majątku zamożnego obywatela galicyjskiego; kto ma pojęcie, jakie to straty ponosił ziemianin skutkiem istnego najazdu wojskowego na jego dwór — ten zrozumie, jakim skarbem stawał się tego rodzaju list żelazny dla jego właściciela.



Inflanty w ogniu: Oddział ekspedycyi egzekucyjnej niszczy ogniem wieś łotewską, w której odkryto rewolucyonistów.

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

13 (Ciąg dalszy).

Chwaliła go pod każdym względem. Pytałem się jej, czy powraca do domu stale o pewnej godzinie wieczór; odparła, że w ogólności tak, ale od dłuższego czasu pozostawał kilkakrotnie dłużej w mieście.

— Prawdopodobnie w święta — rzuciłem.

— Tak — odparła. — Raz tylko, koło Nowego Roku, jak wyszedł gdzieś w piątek rano, tak powrócił dopiero w poniedziałek wieczór.

Było to właśnie w czasie, kiedy zamordowano Haniera i zastawiono papierośnicę.

Inspektor skinął głową.

— A więc — rzekł — nie będzie mógł udowodnić swego alibi.

— Niestety nie! Ale to mnie jeszcze nie zadowoliło w zupełności. Pociąg z Jersey City odchodzi o godzinie pierwszej. Zatelegrafowałem więc do Izaaka z prośbą, aby mnie o drugiej oczekiwał w pasażu Alstora. Stamtąd obydwaj udaliśmy się do zakładu, w którym pracuje Johnson. Wystarałem się o pozwolenie zwiedzenia zakładu i pod przewodnictwem jednego ze znajomych zaczęliśmy obchodzić olbrzymie ubikacye. Powiedziałem Izaakowi, żeby mi dał znak, jak tylko spostrzeże kogoś, podobnego do Robertsona. Nareszcie przyszliśmy do drukarni. Tam stał Johnson. Nie zdradziłem się naturalnie najmniejszym ruchem, ale Izaak, zobaczywszy go, pociągnął mnie za rękaw i rzekł:

— Oto jest człowiek, który zastawił srebrny zegarek. Poznaję go doskonale.

— Dobrze — rzekł inspektor — sprytnie się pan urządziłeś. Zdaje się już nie ulegać wątpliwości, że fałszerzem kwitu jest Johnson. Ale jak sobie to wytłómaczyć? Jaki on w tem miał cel?

— Ja sądzę tak — ozwał się Ślimak — Johnson musi być wrogiem pułkownika, ale dlatego właśnie umiał się wedrzeć w jego łaski. Pułkownik, na którego szkodę on działa, nie podejrzywa go naturalnie ani trochę. Johnson przybył przed rokiem z Anglii i wstąpił do zakładu pułkownika, gdzie znalazł robotę. Czyż to nie wygląda tak, jakby on tu był umyślnie wysłany, aby działać przeciw Desmondowi? Pułkownik jest Irlandczykiem, życie jego osłonięte jest tajemniczością. Kiedy ostatnim razem byłem na balu maskowym, pokazał mi go dorożkarz Bride. Desmond był w czerwonem domino; widziałem zaś czterech czy pięciu panów tak samo ubranych. Wślizgnąłem się za nimi tak blisko, że mogłem po części słyszeć ich rozmowę. Byli to sami Irlandczycy. O ile rozumiałem, mówili o Anglii, o wiadomościach politycznych i traktatach, Anglii dotyczących, co było dla mnie nielada niespodzianką, bo byłem przygotowany na jakieś odkrycia w sprawie morderstwa. Nagle przyszło mi na myśl, że to muszą być członkowie tajnego stowarzyszenia.

— Nie jest to nieprawdopodobne — zauważył inspektor — a cóż dalej?

— Niespodziewany wypadek przeszkodził mi w śledztwie. Jakaś deska spadła, powstał ogromny hałas i wszyscy się rozprószyli. Więcej się już dowiedzieć nie mogłem. Rozważyłem więc tylko wszystkie okoliczności i wszystkie szczegóły i przyszedłem do tego przekonania: Robert Johnson jest...

W tej chwili zapukano do drzwi. Wszedł policyant i szepnął coś inspektorowi, coś widocznie ważnego, bo na twarzy jego odbił się wyraz zdumienia.

— Proszę go wpuścić — rzekł, a zwracając się do Ślimaka, dodał: — Właśnie przyszedł Robert Johnson!

Rzeczywiście do pokoju wszedł za chwilę Johnson i skłonił się przed inspektorem.

— Chciałbym panu inspektorowi udzielić kilku szczegółów — rzekł — które się panu mogą przydać. Dotyczą one mnie samego i kilku jeszcze osób. Czy mogę mówić w obecności tego pana? — dodał, wskazując oczyma Ślimaka.

— Najspokojniej — rzekł inspektor — wie on z pewnością o panu więcej, niż ja.

— Nie wątpię, że wie dużo — ciągnął dalej Johnson — a właśnie przyczyną mego tu przybycia jest chęć wyznania prawdy. Od czasu mojej ostatniej z panem inspektorem rozmowy byłem pod dozorem policyi. Wiem o tem. Tak czy owak więc bylibyście się panowie wcześniej czy później dowiedzieli tego, co ja może na razie ukryć usiłowałem. Postanowiłem więc sam wszystko powiedzieć.

Po tym wstępie opowiedział swoją historyę, której treść podajemy poniżej.

Nazywał on się rzeczywiście Robert Johnson. Pochodził z Anglii i był detektywem w służbie londyńskiej tajnej policyi. Gdy to powiedział, Ślimak skinął mu głową zadowolony; jego przypuszczenie się sprawdziło. Jako detektywa wysłano go do Nowego Jorku celem śledzenia pułkownika Desmonda, który miał stać na czele związku, o jakim poprzednio była mowa. W ręce władzy angielskiej dostało się kilkanaście depesz, listów i dokumentów, tyczących się tego stowarzyszenia, ale wszystkie były szyfrowane. Klucz zaś do nich mógł mieć jedynie pułkownik Desmond. Zadanie Johnsona polegało więc na tem, aby we wszelki sposób postarać się o wydobycie tego klucza i przesłać go do Anglii.

W zakładzie pułkownika szybko pozyskał sobie uznanie i zaufanie u wszystkich, tak, że go zrobiono przełożonym nad pewnym oddziałem. Jako taki mógł już, ile razy chciał, osobiście obcować z człowiekiem, którego miał śledzić. Wkrótce też potrafił pozyskać sobie łaski Desmonda, tembardziej, że parokrotnie pułkownik rozmawiał z nim w sprawach dotyczących Anglii i Irlandyi, a śmiałość Johnsona i bystrość jego umysłu w tych sprawach nieraz go w podziw wprawiała.

Częścią dlatego, aby módz mieć wstęp do domu pułkownika, częścią zaś z przyczyn głębiej sięgających, postarał się o to, że umieścił Linkę Pond u Desmondów. Udało mu się przez to doskonale dowiadywać się o wszystkiem, co zaszło w domu pułkownikowstwa, bo Linka, nie wiedząc, o co jemu chodzi i jaką ona rolę odgrywa, wygadywała się ze wszystkiem. Przekonał się więc wkrótce, że pułkownikowa nie wie nic o tajemnicach swego męża. Pułkownikowa jest kobietą piękną, obdarzoną nadzwyczajnemi zdolnościami muzycznemi, szukającą zawsze jeno estetycznej rozkoszy, ale nie rozumiejącą się zupełnie na polityce.

Rozmaite względy przemawiały za tem, że klucz do owego szyfrowanego pisma posiadał właśnie pułkownik Desmond. Ale nadaremnie suszył sobie Johnson mózg, aby się dowiedzieć, gdzie on ten klucz przechowuje. Zdawało mu się, że klucz musi się znajdować w miejscu bardzo łatwo dostępnem, ale przez to właśnie jeno pułkownikowi znanem.

Nareszcie jednak wpadł Johnson na właściwy ślad. Dowiedział się mianowicie, że dnia pewnego ma się u jednego z członków stowarzyszenia odbyć tajne posiedzenie. Tego dnia oddał mu pułkownik list do żony, w którym ją prosił, aby mu przyniosła srebrną papierośnicę. Johnson list ten otworzył wobec szefa tajnej policyi angielskiej w Nowym Jorku, a ponieważ treść wydała im się podejrzaną, postanowili obaj, aby iść śladem, na jaki natrafili, do celu.

Wtem zaszła nieprzewidziana przeszkoda.

Miss Desmond nie mogła żądaniu męża zadośćuczynić. Papierośnica już była znikła. Gdzież się ona podziała?

Opowiadanie Linki naprowadziło Johnsona na myśl, że pułkownikowa darowała papierośnicę Hanier'owi. Zajście między miss Desmond a Hanier'em, zajście, którego świadkiem była Linka, czyniło przypuszczenie jego bardzo prawdopodobnem, zajęcie się zaś losem tej papierośnicy przez pułkownika kazało się domyślać, że w tej drobnej na pozór rzeczy znajduje się coś rzeczywiście ważnego. Burza w domu pułkownikowstwa wskazywała na to, że miss Desmond się przyznała, a nocna jazda do Haniera mogła mieć tylko jeden cel: odebranie papierośnicy.

Sprawa więc cała rozwijała się dosyć jasno, dopiero morderstwo Hanier'a spowodowało nieoczekiwane zamieszanie.

Kto był mordercą?

Okoliczności, znane Johnsonowi, wskazywały na pułkownika. Stosunek Hanier'a do pułkownikowej i możliwość, że Hanier odkrył tajemnicę papierośnicy, były dostatecznymi powodami do zbrodni. Pułkownik, który na chwilę przedtem był w domu Hanier'a, mógł jeszcze powrócić i zamordować go.

Dalej opowiadał Johnson, jak szedł do swego celu i w jaki sposób wydobył papierośnicę z lombardu. Znaleziony klucz do tajnego pisma odesłał zaraz przez swego szefa władzom angielskim. Kiedy zaś chciał się pozbyć papierośnicy i zastawić ją w pierwszym lepszym lombardzie, został aresztowany przez inspektora, który wszystkim właścicielom lombardów nakazał, aby zatrzymali tego, kto się do nich zgłosi z papierośnicą. Wspomniał też Johnson o swojej przygodzie na balu maskowym, nie tając, że podeszła go Linka, która przywdziała kostyum dla jej pani przepisany.

— Mamże stąd wyciągnąć wniosek — przerwał inspektor — że pan podejrzywasz i oskarżasz pułkownika o zamordowanie Hanier'a?

— Gdyby mnie pan był o to wczoraj zapytał — odparł Johnson — byłbym stanowczo pytanie to potwierdził; ale z tem większą stanowczością muszę je dzisiaj zaprzeczyć.

Po tej odpowiedzi inspektor otworzył szeroko oczy, a Ślimak podniósł się nagle, jakby podrzucony, lecz opanował się i wpatrzył się w Anglika jakby zahypnotyzowany.

— Od dnia, w którym się odbył bal maskowy — ciągnął Johnson — mogłem się dopiero dzisiaj widzieć z Linką. Przedtem nigdy nie chciała ze mną mówić, prawdopodobnie, jak przypuszczałem, dlatego, że chciałem wpłynąć na miss Desmond i że wiedziała prawdopodobnie o tem, iż ja nie jestem jeno zwyczajnym robotnikiem, ale urzędnikiem angielskiej tajnej policyi. Dzisiejsza dopiero z nią rozmowa otworzyła mi oczy i przedstawiła mi pułkownika i jego żonę w innem zupełnie świetle.

Wiesz pan bezwątpienia, że miss Desmond jest rodowitą Francuzką. W dwudziestym roku debiutowała ona pod pseudonimem Spinalba w operze, gdzie odrazu uzyskała świetny sukces. Naprzód występowała we Francyi i w Niemczech, następnie zaangażowała się do Londynu i śpiewała w teatrze Covent Garden. Tam poznał ją pułkownik Desmond, zakochał się w niej i oświadczył się, a wkrótce potem ożenił się z nią pod jej artystycznem nazwiskiem, w przekonaniu, że ona się rzeczywiście tak nazywa. Nie wiedział też, że ona była córką ubogiego rzemieślnika francuskiego i że jej brat był fabrykantem likierów, a nazywał się Ludwik Hanier.

— Więc to był jej brat! — zawołał Ślimak. — No, teraz już wszystko jasne!

Johnson opowiadał dalej, jak miss Desmond, która wraz z mężem mieszkała w Nowym Jorku, odkryła pewnego dnia swego brata, znajdującego się w ostatniej nędzy. Nie śmiała przyznać się mężowi, że to jej brat; pułkownik bowiem był arystokratą do szpiku kości i był przekonany, że żona jego pochodzi ze szlacheckiej, choć może podupadłej rodziny. Zdecydowała się więc przyjąć Haniera do swego domu na piwnicznego. I Hanier byłby tam z pewnością do dziś dnia na tem stanowisku pozostał, gdyby pułkownik nie był zauważył, jak mu się zdawało, zanadto poufałego stosunku Haniera do swej żony. I to było przyczyną, że Hanier dostał wypowiedzenie. Miss Desmond pomogła mu jednak wynająć mały sklepik i urządzić go, a nadto wspomagała go często pieniędzmi. Niejednokrotnie też dawała mu podarki.

Na jej żądanie zataił Hanier nawet przed swoją żoną, że jego dobrodziejka jest jego rodzoną siostrą. Pułkownik też nie wiedział nic, że żona jego pozostawała ciągle w stosunkach z Hanierem.

Nadeszło Boże Narodzenie. Miss Desmond poczyniła zakupy w wigilię; do domu wróciła późno i dopiero wtedy spostrzegła, iż zapomniała kupić podarku dla brata. Przykro jej się zrobiło, że Hanier nic od niej nie dostanie, wtem zobaczyła na biurku męża papierośnicę. Zdawało jej się, że ta papierośnica dla męża jej niema żadnego znaczenia, bo pułkownik nie palił. O tem, co się później stało, Czytelnicy już wiedzą.

Miss Desmond, zobaczywszy, jak bardzo pułkownikowi na tej papierośnicy zależy, nie zdołała wobec jego natarczywych pytań i gróźb dłużej zachować tajemnicy. Wprawdzie pułkownik zdumiał się ogromnie, usłyszawszy, że Hanier jest jej bratem, jednak przyjął tę wiadomość o wiele łagodniej, aniżeli ona się spodziewała. Powiedział jej nawet, że wedle sił starać się będzie pomagać Hanierowi. Przedewszystkiem jednak chodziło mu o dostanie papierośnicy. Nie można było po nią posłać służącego; postanowiono więc, że miss Desmond sama uda się do Haniera, żeby zaś uniknąć wszelkich podejrzeń, uczyni to dopiero w nocy, kiedy Hanier już sklep zamknie. Pułkownik dla tego przedsięwziął te ostrożności, bo wiedział, że policya angielska nim się opiekuje, a nie życzył sobie, aby ta papierośnica dostała się w ręce ajentów londyńskich. Nie przydało mu się to jednak na nic, bo człowiek, przeciw któremu on nie miał najmniejszego podejrzenia, poszedł za nimi aż ku gospodzie Haniera, i z tego, co tam widział, wyciągnął odpowiednie wnioski. Przez ostrożność zabrał też pułkownik ze sobą rewolwer, który położył obok siebie, aby módz papierośnicę włożyć na sam spód kieszeni. Wysiadając, zapomniał go zabrać i zostawił go w dorożce.

Kiedy na drugi dzień rano rozeszła się wieść o zamordowaniu Haniera, miss Desmond naturalnie od zmysłów odchodziła. Ulegając jej prośbom i błaganiom, poszedł z nią pułkownik na ulicę

Wolności. Przed domem Haniera zobaczyli tłum ludzi; przed drzwiami stał policyant, spostrzegli więc, że niema mowy o tem, aby się dostać do wnętrza mieszkania, tembardziej, że nie chcieli zwracać na siebie uwagi, a zwrócić by ją musieli. Pułkownik namówił żonę do powrotu. Na drugi dzień zastawił on papierośnicę, chcąc ją, jak przypuszczał inspektor, ulokować w miejscu najbezpieczniejszem, do którego jednak miałby dostęp łatwy. Ale się zawiódł.

— Wspomnieć jeszcze muszę — dodał Johnson — że pułkownik absolutnie nie wyszedł z domu, powróciwszy z żoną od Haniera. Mogą to poświadczyć Linka Pond i dwie inne służące. Zresztą sama wiadomość o pokrewieństwie pułkownikowej z Hanierem wyklucza wszelkie przypuszczenia co do morderstwa. Przed chwilą mówiłem pułkownikowi to samo, co panu teraz i na jego żądanie tu przybyłem. On może wszystko to, co powiedziałem, potwierdzić, jeżeliby tego zachodziła potrzeba. Przy sposobności muszę też panom powiedzieć, że porzucam służbę w tajnej policyi i osiadam tutaj jako zwyczajny obywatel. Postawiła mi to za warunek Linka Pond, której się oświadczyłem. Zadanie, jakie mi poruczono, wypełniłem; obowiązki moje w tym kierunku są więc skończone. To, moi panowie, wszystko, co chciałem powiedzieć.

— Zaiste — zauważył inspektor, zwracając się do Ślimaka — najgorszą rzeczą, jaka może którego z nas spotkać, jest wejście na fałszywą drogę. Pańskiej energii i sprytowi musimy zawdzięczyć, żeśmy nareszcie z tych dróg zeszli. Należy się panu za to najżywsze uznanie. — Teraz chodzi jednak o nowy ślad. Jestem przekonany, że pan nam dopomoże do wyświetlenia tej tajemniczej historyi.

ROZDZIAŁ XVIII.

Aresztowany.

Na drugi dzień otrzymał inspektor raport o wizycie Mikego u Karoliny. Raport ten był przyczyną ostatecznej decyzyi szefa nowojorskiej tajnej policyi. Na pozór w dyrekcyi policyi szło wszystko zwyczajnym trybem, ale wtajemniczeni mogli byli poznać, że tam coś gorączkowo przygotowywano.

Także w szynku Guleya było do południa cicho i spokojnie; dopiero koło czwartej po południu przyszło tam kilku gości. Człowiek, którego już poprzednio tam widzieliśmy, ów spokojny nieznajomy, przyszedł także. Wypił przy szynkfasie szklankę piwa, poczem usiadł przy samotnym stoliku w głębi szynkowni. Guley czytał z zajęciem gazetę sportową, która miała zaszczyt zaliczać go do swoich abonentów. Kelner posypywał podłogę trocinami, chcąc w ten sposób zniwelować obskurne zapachy rozlanego piwa i marnego tytoniu.

Naraz drzwi się otworzyły i do szynkowni wszedł Mike Gloin ze swym nieodłącznym przyjacielem Banfieldem. Obydwaj usiedli przy stole niedaleko szynkfasu. Mike był blady i zmęczony jak po źle przespanej nocy, Banfield również nie wyglądał najlepiej. Siedzieli przy oknie w ten sposób, że światło padało na twarz Mikego; gdyby go się chciało fotografować, to nie możnaby go lepiej ustawić. Ów cichy nieznajomy, siedzący spokojnie w głębi, nie spuszczał oka z tej pary. Mike kazał przynieść wódki, którą obydwaj popijali, wiodąc ożywioną rozmowę.

Wtem zaszło coś niespodziewanego, tak, że mister Guley podniósł oczy z gazety. Drzwi się otworzyły jakby z rozkazu władzy, a do szynku wszedł wysoki człowiek z żółtą brodą, niosąc pod pachą paczkę plakatów. Obejrzał się mechanicznie po pokoju, badawczem spojrzeniem zmierzył siedzących przy stole łotrzyków i owego spokojnego nieznajomego i Guleya. Wszyscy poznali w nim woźnego sądowego z tego okręgu, który chodził po knajpach z wezwaniami dla gości.

— Tu mam powiesić afisz — rzekł do gospodarza i podszedł ku ścianie, niedaleko której siedział Mike i Baufield. Było tam kilkanaście gwoździ; na jednym z nich powiesił wielki plakat czerwony i wyszedł z szynku.

Baufield obrócił się i spojrzał na plakat, na którym było wydrukowane wielkimi literami:

500 dolarów nagrody!

zostanie wypłaconych temu, kto wskaże sądowi osobę, lub osoby, które w nocy,

dnia 30-go grudnia 1881-go roku

ZAMORDOWAŁY

Ludwika Hanier'a.

Banfield, przeczytawszy te słowa, zbladł i obróciwszy się do Mikego, szepnął drżącym głosem:

— Na rany Boskie, Mike! Przypatrzno się!

Mike Gloin nie przeczuwał i nie domyślał się nawet, jak oczy owego niepozornego indywiduum z głębi pokoju badawczo na niego patrzyły. Obejrzał się, rzucił okiem na afisz i wstrząsając ramionami, rzekł:

— Już dobrze. Oni tam nie wyznaczają nagrody, jeśli są na tropie zbrodniarza. Możemy być zupełnie spokojni.

Wieczorem siedział inspektor Byrnes w swoim gabinecie, przeglądał raporty i rozdzielał rozkazy. W przedpokoju zgromadzonych było kilkunastu ajentów. Każdy z nich, otrzymawszy rozkazy, odchodził natychmiast, tak, że żaden z pozostałych nie wiedział, dokąd kogo wysłano. Najgłębsze milczenie jest bowiem główną ustawą, obowiązującą w gmachu przy ulicy Mulberry. Każdy z ajentów znał tylko sprawę, którą jemu poruczono. Wszyscy też rozmawiali o wszystkiem, tylko nie o tem, jakie który z nich miał polecenie.



....Banfield, przeczytawszy te słowa, zbladł i obróciwszy się do Mikego, szepnął drżącym głosem: — Na rany Boskie, Mike! Przypatrzno się!

Wiedzieli oni doskonale, że ma się stać coś ważnego, to też każdy czekał niecierpliwie chwili, kiedy go zawezwą do inspektora po rozkazy.

Przed inspektorem leżał na biurku arkusz papieru, na którym obok innych uwag znajdowało się pięć nazwisk, widocznie ważnych, bo podkreślonych czerwonym ołówkiem Nazwiska te brzmiały:

Michał Gloin, zwany Mike,
Robert Morrisey,
Tomasz Healy,
Fryderyk Banfield,
Karol Guley.

Ludzie ci mieli być aresztowani. O co ich oskarżano, tego nie wiedział żaden z detektywów, którym poruczono ich dostawienie.

Aresztowanie miało się odbywać o ile możności cicho i spokojnie, tak, żeby co najwyżej użyć dorózki w razie, gdyby aresztowany się opierał.

Ponieważ wszyscy oni byli już od dłuższego czasu pod nadzorem policyjnym, inspektor wiedział doskonale, gdzie którego z nich znajdzie. Mógł więc wydać rozporządzenia w ten sposób, aby aresztowania odbyły się wszystkie o jednej godzinie. Chodziło mu tylko o to, aby aresztowani nie zetknęli się z sobą. Bo od chwili, w której się znajdą w rękach policyi, będą już wszyscy odcięci od wszelkiej styczności ze światem. Wydał już był rozkazy co do aresztowania Morrisey'a, Healego, Banfielda i Guley'a. Pozostawał tylko Mike Gloin.

Jego postanowił inspektor sam aresztować. Do pomocy przybrał sobie trzech policyantów. Dwójkami wyszli z gmachu dyrekcyi policyi i rozdzielili się odrazu. Po chwili jednak zeszli się wszyscy na ulicy Smoczej.

Tam znajdowała się knajpa niejakiego Macdermota. Tak właściciel, jak i jego lokal mieli w policyi jak najgorszą reputacyę, bo też goście, którzy się tam codziennie koło bilardu i szynkfasu gromadzili, należeli wyłącznie do tych ludzi, którzy nie lubią chodzić prostemi drogami.

Szynkownia to była obszerna, podobna do innych tego rodzaju spelunek. Oświetlona była gazem. Na prawo od wejścia znajdował się szynkfas. Boczne drzwi prowadziły na dziedziniec domu.

Większa część gości stała właśnie obok bilardu, na którym kilku z nich grało. Była tam mięszanina najgorszych mętów nowojorskich, między nimi osławieni pijacy i złodzieje. Gospodarz, z cygarem w ustach, siedział za szynkfasem. Ubranie jego składało się ze wszelkich możliwych części garderoby, połączonej ze sobą grubemi nićmi.

Wtem drzwi się otworzyły. Do szynkowni wszedł wysoki, nieznany mężczyzna, szybkim, ale pewnym krokiem przeszedł przez izbę, przecisnął się przez tłum, stojący obok bilardu i podszedł ku drzwiom bocznym, które zamknął, a klucz schował do kieszeni. Potem odwrócił się i stanął sztywno jak posąg marmurowy.

Podczas gdy oczy wszystkich spoczywały na nim, wszedł drugi mężczyzna i stanął przy drzwiach, jakby na straży.

Cóż miał znaczyć ten napad?

Hałasujący goście w jednej chwili ucichli, bilardziści przestali grać. Macdermot wyjął cygaro z ust i wyszedł z za szynkfasu. W tej samej chwili wszedł do izby inspektor Byrnes w towarzystwie detektywa, który drzwi zamknął i stanął przy nich razem z pierwszym na straży.

Macdermot widocznie wzburzony i przestraszony zwrócił się do inspektora:

— Co się tu dzieje, do stu dyabłów, mój panie? — zapytał.

— Zachowuj się pan spokojnie! — brzmiała surowa odpowiedź, poczem inspektor, zwracając się do zebranych tam łotrzyków, zawołał:

— Ustawić się w rząd!

W jednej chwili wszyscy ścisnęli się na środku izby.

— Stanąć rzędem! Ręce do góry! Wszyscy! — rozkazywał inspektor.

Ustawili się. Byli to wprawdzie nielada rzezimieszki, ale wiedzieli, z kim mają do czynienia, dlatego nie opierali się, ale spokojnie wypełnili rozkazy.

— Przeszukać ich! — brzmiał dalej rozkaz.

Zaczęła się teraz oryginalna scena. Bo też człowiek, który musi podnieść ręce do góry i pozwolić sobie przetrząsnąć wszystkie kieszenie, nie jest wcale w położeniu do pozazdroszczenia.

Cel rewizyi był podwójny. Przedewszystkiem mógł przy tej sposobności wpaść w ręce władzy jakiś podejrzany przedmiot, który się mógł przydać, a po drugie właściwa przyczyna rewizyi ogólnej była dla wszystkich tajemnicą. Przez kilka minut słychać było jeno głosy detektywów, zapisujących — jakie przedmioty znaleziono u rzezimieszków. (Dokończenie nastąpi).



Pogrzeb jenerała broni w Krakowie: Ś. p. Jan baron Ziemięcki, rz. radca tajny i szambelan, em. jenerał broni.

Pogrzeb jenerała broni w Krakowie.

W ubiegłą środę odbył się w Krakowie niezwykły pogrzeb śp. Jana barona Ziemięckiego, starca 90-letniego, który na obcych dworach spędził przeważną część życia, w obcych armiach doszedł do najwyższych godności, a jednak zawsze czuł się Polakiem i po wycofaniu się ze służby wojskowej, osiadł na stałe w Krakowie, gdzie teraz dokonał żywota.

Śp. Jan Ziemięcki, którego portret obok zamieszczamy, urodził się w roku 1816 w Kaliszu. W dzieciństwie postradał matkę i odwieziony został z wnukiem wojewody Bilińskiego do Drezna na wychowanie. Dwór saski łączyła wtedy z Polską serdeczna nić sympatyi, boć przecie od roku 1806 do 1814 król saski był za sprawą Napoleona pozornie królem Polski. Małego Ziemięckiego zobaczyła w kościele królowa saska, która, ujęta przyjemną i piękną powierzchownością chłopczyny, zabrała go na swój dwór. Tak więc w dzieciństwie jeszcze błysła Ziemięckiemu szczęśliwa gwiazda, która aż do ostatka dni jego pełnym jaśniała blaskiem. Mały Ziemięcki został paziem królowej, był ulubieńcem dworu, wreszcie został wliczony do korpusu kadetów. Miał lat 9, kiedy go doszła wieść, że ojca jego za udział w związku patryotycznym aresztowano. Chłopczyna napisał czuły list francuski, który się dostał do rąk Nowosilcowa i wielkiego księcia, a ten, przeczytawszy go, rozczulił się i uwolnił mu ojca z więzienia.

Doszedłszy do lat młodzieńczych, Ziemięcki bardzo szybko przechodził stopień po stopniu, wreszcie został przybocznym adjutantem księcia Augusta sasko-kobursko-gotajskiego, jenerała w wojsku saskiem. Książę ciągle prawie podróżował, mając Ziemięckiego za nieodstępnego towarzysza. Podczas podróży do Hiszpanii zatrzymali się obydwaj w Paryżu, gdzie ich zastała rewolucya lutowa 1848 roku. Wśród ogólnego przerażenia zdołał Ziemięcki uratować kasetę z klejnotami króla Ludwika Filipa i ukryć ją tak, że wręczył ją potem w Londynie wygnanej za granicę królewskiej rodzinie. W rok później na czele swej kolumny, jako pułkownik, uśmierzył rewolucyę w okolicach Drezna. Za namową księcia nassauskiego przeniósł się na dwór w Wiesbadenie, gdzie został po kilku latach naczelnym wodzem wojsk nassauskich; jako jenerał towarzyszył księciu we wszystkich podróżach i monarszych zjazdach i spełnił kilkanaście misyi dyplomatycznych ku ogólnemu zadowoleniu. W roku 1866 walczył z wojskiem nassauskiem po stronie Austryi przeciw Prusom, za co cesarz Franciszek Józef, po anneksyi księstwa nassauskiego przyjął Ziemięckiego odrazu w randze jenerała do armii austryackiej i odznaczył go szeregiem zaszczytów, tytułem barona, tajnego radcy i szambelana, a wreszcie nadał mu najwyższą w Austryi godność wojskową, jenerała broni, oddając mu równocześnie własność 59 pułku. Wśród tej świetnej karyery Ziemięcki ozdobiony został 23 orderami prawie wszystkich dworów europejskich.

W roku 1878 przeszedł jen. Ziemięcki w stan spoczynku i zamieszkał w Krakowie. W sprawie restauracyi Wawelu, poruszonej przez jego krewnego, użył na dworze wiedeńskim wszystkich wpływów, aby tę sprawę poprzeć.

Pogrzeb jenerała odbył się podług przepisanych form wojskowych. Żałobny pochód otwierał komendant korpusu krakowskiego jen. Horsetzky na czele sztabu jeneralnego, potem szedł w paradzie batalion 100 pp. z orkiestrą. Kondukt prowadził ks. biskup Anatol Nowak. Wzdłuż całej drogi, którą przechodził żałobny orszak zgromadziły się tysiączne tłumy ludu. Zamieszczone fotografie, zdjęte w czasie pogrzebu na ul. Basztowej przez naszego specyalnego fotografa, przedstawiają kilka scen z tego wspaniałego pochodu wojskowego.



Specyalne zdjęcie własnym aparatem „Nowości Illustrowanych“.
Pogrzeb jenerała broni w Krakowie: Fragment z pochodu na pogrzebie ś. p. br. Ziemięckiego (rycerz w zbroi na koniu i wóz z wieńcami).

Kto będzie posłem z Warszawy.

W drugiej połowie kwietnia zostaną ukończone pierwsze w historyi państwa rosyjskiego wybory poselskie do parlamentu w Petersburgu, „Dumą“ zwanego. Znajdzie się tam 36 posłów z Królestwa Polskiego, wśród których stolica Warszawa liczyć będzie dwu własnych swych przedstawicieli.

Zaszczyt ten i służba brzemienna odpowiedzialnością dostanie się z woli wyborców Warszawy najprawdopodobniej dwom kandydatom, których podobizny zamieszczamy.



Specyalne zdjęcie własnym aparatem „Nowości Illustrowanych“.
Pogrzeb jenerała broni w Krakowie: Fragment z pochodu na pogrzebie śp. br. Ziemięckiego (karawan ze zwłokami, poprzedzony przez duchowieństwo z biskupem ks. Nowakiem).



Specyalne zdjęcie fot. własnym aparatem „Nowości Illustrowanych“.
Pogrzeb jenerała broni w Krakowie: Fragment z pochodu wojskowego na pogrzebie śp. br. Ziemięckiego.

Pierwszy, to zasłużony w walce o prawa narodowe Władysław hr. Tyszkiewicz, właściciel Weyherowa na Litwie, przemieszkujący stale w Warszawie, gdzie zyskał sobie zaszczytne zaufanie współobywateli, które go obdarzyło obok wielu innych, godnością prezesa Tow. popierania przemysłu i handlu.



Kto będzie posłem z Warszawy: Adwokat Franciszek Nowodworski, najprawdopodobniej jeden z dwóch przyszłych posłów miasta Warszawy do „Dumy“.

Odznaczył się na tem stanowisku pracowitością, taktem i uprzejmością, z których pomocą umiał pogodzić wewnętrzne niesnaski w sekcyi rękodzielniczej. Oddany sprawom narodowym, brał gorący udział w komitetach i zjazdach, czy to w piekącej kwestyi szkolnej czy innych, a ruchliwość ta ściągnęła wreszcie na niego gniew rządu i karę wywiezienia na Sybir, zamienioną następnie na wygnanie poza granice państwa.

Z usposobienia łagodny, spokojny, cichy niemal, niemniej posiada duży, nieugięty charakter i spory zasób odwagi cywilnej. Zalety te wraz z gorącą miłością i znajomością spraw ojczystych, wraz z wdzięcznem uznaniem i zaufaniem Warszawy, kwalifikują go na jej posła, oddawna przez powszechny głos opinii wybranego.

Kandydat drugi, adw. przys. p. Franciszek Nowodworski, stojący, jak i poprzedni, na gruncie narodowej demokracyi — wyrósł jako taki dopiero w ostatnich czasach, choć znany już dawniej i jako dzielny obrońca i jako redaktor „Kuryera Warszawskiego“, a nadewszystko wywodzący się „z tego co boli“, z cierpienia za swoje narodowe przekonania i działania, które przebywał skazany swego czasu na dwuletnie wygnanie...

Wrócił z niego jeszcze bardziej zahartowany, jak kruszec w ogniu; pracuje też odtąd oddany całem sercem sprawom narodowym, wszędzie, gdziekolwiek go one powołują, a więc czy to w delegacyi adwokatów w Petersburgu, czy na zjeździe ziemców w Moskwie, czy w kraju, czy w Warszawie, jak teraz na przedwyborczych zebraniach, gdzie dzielnie staje w ogniu nietylko słów gorących, ale i kul rewolwerowych ze strony przeciwników Dumy, rozganiających zebrania.

To „pogotowie“ służby u adw. Nowodworskiego, obok osobistych zalet nieskazitelnego charakteru, przy silnem poparciu stronnictwa narodowo demokratycznego, zapewnia mu niemal wybór na drugiego posła m. Warszawy. *B-t*



Kto będzie posłem z Warszawy: Władysław hr. Tyszkiewicz, najprawdopodobniej jeden z dwóch przyszłych posłów miasta Warszawy do „Dumy“.

Kogo boi się Cyganiewicz.

Ulubieniec krakowskiej publiczności, Cyganiewicz-Zbyszko, zbierający dzisiaj laury na arenie cyrku Sidolego w Hamburgu, jest bezsprzecznie jednym z najtęższych na świecie mistrzów zapaśnictwa, czego dowody złożył już w niejednej walce z pierwszorzędnymi siłaczami. Krakowianie są nawet przekonani, że „Zbyszkowi nikt nie da rady“, bo Cyganiewicz powali każdego, kto się odważy wejść z nim w szranki. A jednak jest jeden siłacz, którego Cyganiewicz nietylko nigdy nie powalił, ale którego się nawet boi. Siłacz ten, to Hackenschmid, największy dzisiaj na świecie zapaśnik, którego dotychczas nikt nie zdołał przycisnąć na obie łopatki do dywanu, nikt nie zdołał zwyciężyć. A Hackenschmid walczy już lat 10, spotkał więc w swojej karyerze zapaśniczej niejednego siłacza pierwszej klasy i z niejednym już walczył mistrzem.

Hackenschmid, którego portret pomieszczamy obok, liczy dziś lat 30. Rosyanin z urodzenia, nie Niemiec, jakby należało sądzić z nazwiska, rozpoczął karyerę zapaśniczą w Petersburgu i odrazu wysunął się na czoło zapaśników. Odznacza on się kolosalną budową ciała, znakomitą szkołą i siłą wprost straszną. Dość wspomnieć, że bił się we wszystkich prawie większych miastach Europy i wszędzie zwyciężał. Obecnie przybywa do Londynu, występować w rozmaitych cyrkach tego milionowego miasta. Przynosi mu to pokaźne dochody, bo wtajemniczeni opowiadają, że ma miesięcznie około 10 000 franków dochodu. Dla podrzędniejszych siłaczy jest Hakenschmid postrachem; wielcy atleci unikają, o ile mogą, walki z „niezwyciężonym“, jak go między sobą nazywają.

Cyganiewicz nie bił się z Hackenschmidem jeszcze nigdy. Jeżeli się kiedy spotkają, będzie to rzeczywiście walka wspaniała. Bo i Cyganiewicz należy bądź co bądź do pierwszorzędnych atletów. A gdyby mu się tak udało pokonać Hakenschmida?! Marzy on zapewne o tem tak samo, jak marzy młodzież krakowska, która tak pokochała tego bajecznie silnego młodzieńca.



Kogo się boi Cyganiewicz: Najsilniejszy człowiek na kuli ziemskiej, niezwyciężony dotąd przez nikogo, słynny atleta rosyjski Hackenschmid.

Wskrzeszona starożytność.

Grecya, owa kraina bogów i bohaterów, krocząca przez kilka wieków na czele ludzkości, po długiem odrętwieniu, po długim śnie, ozwała się w roku bieżącym głosem, który po całej Europie niesie echa dawnej świetności i chwały przodowniczki postępu i wiedzy. Oto rozeszła się po świecie wieść, że grono miłośników greckiej przeszłości z księciem następcą tronu na czele, powzięło zamiar wskrzeszenia największej uroczystości starogreckiej, mianowicie Igrzysk Olimpijskich.

Czem były te igrzyska w czasie największej świetności Grecyi, a nawet w czasach niedoli i walk?



Wskrzeszona starożytność: Komitet dygnitarzy greckich z następcą tronu, księciem Konstantym, jako przewodniczącym, pośrodku, urządzający na wzór starożytnych „igrzyska olimpijskie“, na które przybędzie do Grecyi wielu monarchów europejskich.

Były one najsilniejszą spójnią, łączącą wszystkie szczepy greckie w jeden naród, były wyrazem kultury i potęgi poszczególnych miast, opromienionym aureolą wspólnej czci dla Apolla. W igrzyskach olimpijskich brała udział cała Grecya, wszystkie miasta greckie na wybrzeżach morza Śródziemnego i Małej Azyi rozsiane. Skupiały one wszystkich Greków, rozrzuconych po całym ówczesnym świecie, były więc świętem w całem tego słowa znaczeniu narodowem, a nawet świętem kultury i cywilizacyi. Bo na igrzyskach olimpijskich zbierali się nietylko ludzie, imponujący zręcznością i pięknością ciała, brali w nich udział poeci, malarze i rzeźbiarze. Oprócz ćwiczeń czysto fizycznych, biegania w dal, rzucania dyskiem, zapasów siłaczy, na igrzyskach olimpijskich odbywały się popisy mistrzów pióra, dłuta i pendzla. Tam Grecy chłonęli w siebie blaski przecudnej poezyi, tam uczyli się poznawać i kochać piękno, tam uczyli się cenić siebie, swoją godność i swoje znaczenie. Można powiedzieć, że igrzyska te, odbywające się co cztery lata, były kamieniami milowymi na drodze postępu i rozwoju cywilizacyi.

Igrzyska olimpijskie postanowiono teraz wskrzesić, a owiać je takim samym duchem, jak w starożytności. Z pod pyłu wieków mają wydobyć zamierzchłe runy minionej przeszłości, stawić je przed oczy współczesnych i tchnąć w nich te wzniosłe uczucia, jakiemi byli przejęci Grecy z przed lat z górą 2.000. A więc w programie igrzysk znajdują się ćwiczenia fizyczne, popisy poetów i dramaturgów greckich. Będą one obrazem dzisiejszej kultury potomków bohaterów z pod Termopil i z pod Maratonu. A igrzyska uświetnione będą obecnością grona monarchów europejskich, którzy zapowiedzieli swój przyjazd na te uroczystości do Grecyi.

Zamieszczamy więc illustracyę, przedstawiającą komitet urządzający igrzyska olimpijskie, a dokładający dzisiaj wszelkich starań, aby to „wskrzeszenie starożytności“ było godnem tradycyi wieków minionych. Pośrodku grupy stoi przewodniczący komitetu, grecki następca tronu.



Obraz Maryawicki: Wizerunek Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, dla którego szczególną cześć żywią Mankietnicy.

Obraz Maryawicki.

Maryawicki obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, przedmiot ataków z różnych stron za pochodzenie obrazu wschodnio greckie, za takiż jego charakter kolorytu napisów i trójramiennego krzyża — różni się jednakże tem od prawosławnego że najniższe ramię nie jest pochylone ukośnie, ale proste i poziome. Zarzucają Maryawitom, że dla tego obrazu porzucają cześć dla Matki Boskiej Częstochowskiej, co nie jest prawdą, gdyż sam widziałem w kościołach maryawickich i chorągwie i obrazy ścienne z Matką Boską Częstochowską, a nadto usprawiedliwia ich kult i dla „Nieustającej Pomocy“ bulla papieska, przywiązująca odpust do tego obrazu. *B-t.*

Pożar olbrzymiego młyna.

Dla publiczności żądnej wrażeń, a w szczególności dla malarzy, wielkie pożary w nocy stanowią widok ponętny i zachwycający swymi efektami bajecznymi. Do najwspanialszych zaś należą pożary młynów i składów mąki, dla tej przyczyny, że trudno o piękniejszy obraz nad to, gdy worki płonącej mąki strzelają co chwila w czarne niebo, deszczem miliona iskier złocistych. Kto tego nie miał sposobności oglądać, nie wyobraża sobie nawet — co to za widowisko z bajki. Ale gdy się pomyśli, ile nieszczęścia sprawia pożar młyna — jak wogóle każdy wybuch ognia, pragnęłoby się z serca nie życzyć nikomu widoków podobnych do tego, jaki nam przedstawia rycina na stronie 3. Fotograf uchwycił scenę z niedawnego pożaru olbrzymiego młyna w Palermie. Widzimy tu tylko małą część gmachu, ogniem objętego. A był to największy z młynów włoskich, który stanowił śpichlerz całej Sycylii. Dość powiedzieć, że mimo natychmiastowego ratunku straży pożarnej i wojska, straty właściciela Pecoraino obliczono na 5 milionów z górą; około 40.000 centnarów mąki spalonej nie było wcale jeszcze ubezpieczonych. Wiele osób poparzyło się nieszczęśliwie, kilka zginęło w płomieniach, a dwa tysiące ludzi zostało bez pracy i chleba po spaleniu się tego olbrzymiego młyna.



W chińskim kotle: Szpital misyi chrześcijańskiej w Chinach, obecnie przedmiot mściwych napadów bokserów chińskich, którzy palą budynki cudzoziemców i mordują misyonarzy europejskich.



W chińskim kotle: Ulicą Pekinu jedzie br. Komura, pełnomocnik Japonii, na konferencyę w sprawie Mandżuryi



W chińskim kotle: Wojsko chińskie w Pekinie oddaje honory br. Komurze.



W chińskim kotle: Medycy chińscy zajęci w szpitalach, utrzymywanych w Chinach przez misye chrześcijańskie, na które napadają teraz bokserzy, paląc i mordując.

W chińskim kotle.

W chińskim kotle znowu wre i kipi: gotują się wielkie niespodzianki dla Europy, dla świata całego. Już w poprzednim numerze pisaliśmy o przechwałkach niepróżnych chińskiego posła w Berlinie o wielkich przewrotach w ustroju armii „niebieskiego państwa“, która pono ma już nietylko dorównywać europejskim wojskom, ale w niektórych względach nawet przewyższać białych żołnierzy. Do tego stopnia zeuropeizowano armię „żółtych dyabłów“, zaprowadziwszy w niej wszelkie ulepszenia militaryzmu nowoczesnego, że manewry, które wszak stanowią jeneralną próbę wojny prawdziwej, niczem się już dziś nie różnią od manewrów w mocarstwach europejskich — chyba śmiesznymi warkoczami żołnierzy, jak widzimy na naszej rycinie. Przykład malutkiej Japonii podziałał widocznie szybko i skutecznie na olbrzymiego sąsiada-krewniaka, który chce dorównać bratu-karzełkowi. Zawarli też tajny sojusz ze sobą, żeby dać świadectwo słowom proroków europejskich o żółtem niebezpieczeństwie. Zawarł go świeżo w Pekinie, w czasie konferencyi chińsko-japońskiej o losach Mandżuryi, imieniem Japonii baron Komura. Pozna go każdy łatwo na naszej illustracyi, gdyż wraziła się w pamięć czytelników ta mała figurka z owego czasu, gdy w Ameryce z Wittem toczył Komura układy o pokój po wojnie rosyjsko-japońskiej. Przebąkują zaś dzisiaj politycy coś — niecoś o możliwości nagłego wybuchu nowej wojny między Rosyą a Chinami tym razem.



Romans lorda: Par angielski lord Clifford, który ożenił się z aktorką Carrington.

Tymczasem w kotle chińskim kipi już nie na żarty. Depesze przynoszą codzień to nową sensacyę z „państwa środka“, zapowiadajac na 24 b. m. wielką rzeź cudzoziemców. To też przygotowania północno-amerykańskiego ministerstwa wojny w celu wkroczenia do Chin na wypadek powstania, czynią znaczne postępy. Akcya obliczona jest na szersze rozmiary, niż przewidywano. Gdyby było potrzeba, 20 tysięcy żołnierzy z północnej Ameryki i 5 tysięcy z Filipin ma wkroczyć do Chin. Sztab jeneralny armii Stanów Zjednoczonych wygotował już plan szczegółowy. Część tych wojsk wyjdzie z wysp Filipińskich, większość zaś ma się zebrać w San Francisco. W ciągu miesiąca ma się cała wyprawa amerykańska znaleźć na wodach chińskich, a złożona będzie z 15 pułków piechoty i 4 jazdy, z 4 bateryi lekkiej i 1 ciężkiej artyleryi, pod wodzą trzech jenerałów; są to: Mc Arthur, Wood i Franklin Bell. W Kalifornii niebawem odbędzie się też mobilizacya krajowej milicyi. Ale podobno do akcyi Stanów Amerykańskich mają się przyłączyć mocarstwa europejskie z akcyą wspólną, te zwłaszcza, których poddani wystawieni byliby na niebezpieczeństwo w Chinach w razie powstania przeciw cudzoziemcom wogóle, na co się istotnie zanosi coraz groźniej, pod wpływem nowych związków chińskich, podburzających w różnych prowincyach ludność przeciw chrześcianom.

Tymczasem dochodzą z Szanghaju wieści o sporadycznych, jak dotąd, wypadkach napadów na misye chrześciańskie w Chinach, o mordowaniu misyonarzy i niszczeniu szpitali misyjnych (z tej przyczyny podajemy dziś illustracyę jednego z takich szpitali, oraz grupę zajętych w nim medyków chińskich). Podczas ostatnich rozruchów w Nantang np. zginęło 6 francuskich misyonarzy Jezuitów i 2 Amerykanów. Zaburzenia powstały tam skutkiem sprzeczki między francuskimi Jezuitami a urzędnikami chińskimi. Misyonarze, gdy wymordowano ich towarzyszy, schronili się do Kukiung, gdzie budynków misyjnych strzeże wojsko.

Jednocześnie donoszą z Pekinu, iż w samym pałacu cesarskim powstała wielka panika na wieść, że odkryto tam znaczną ilość dynamitu (co się prawdą okazało) i że kilku studentów chińskich, należących do spisku rewolucyjnego, przybyło do stolicy dla wykonania antydynastycznych zamachów. Dalsze telegramy mówią już o wybuchu rewolucyi w Pekinie i o przerwaniu komunikacyi między „świętem miastem“, w którem zamknęła się w pałacach rodzina cesarska, a resztą dzielnic stolicy. Jenerał Juanszikaj, wicekról Szantungu, spieszy z wielkiem wojskiem regularnem na pomoc rodzinie panującej. Do Szanghaju przyszła przed kilku dniami wiadomość z Pekinu o niebezpiecznej chorobie cesarzowej wdowy, a gubernator miasta dostał nawet depeszę o jej śmierci. I z innych źródeł zapewniano w tym tygodniu, że cesarzową chińską zamordowano, ale dotychczas nie ma potwierdzenia tego, jak wogóle trudno jeszcze mieć pewne relacye o wszystkiem, co się dziś nie dzieje w wielkim kotle chińskim.



Romans lorda: Aktorka Ewa Carrington, z którą ożenił się lord Clifford.

Romans lorda.

W eleganckim świecie wzbudził świeżo ogromne zajęcie mezaljans pewnego młodego lorda angielskiego ze świetnego rodu; więc może i naszych



W chińskim kotle: Epizod z wielkich manewrów zeuropeizowanej armii chińskiej, o której obcy sprawozdawcy wojskowi zapewniają, że już dziś mogłaby dorównać armiom europejskich mocarstw.

Czytelników zainteresują portrety romantycznego młodzieńca i uroczej bogini jego serca. Angielskie sfery arystokratyczne nie posiadały się z oburzenia na wiadomość, że jeden z parów Wielkiej Brytanii, lord Clifford, potomek jednego z nastarszych



Towarzystwo gospodarskie: Znakomity parlamentarzysta, dr. Włodzimierz Kozłowski, który w tych dniach złożył godność prezesa gal. Tow. gospodarskiego.

rodów, poznawszy przed paru miesiącami aktorkę z Aldwich-Theater w Londynie, piękną Ewę Carrington, zapłonął do niej taką miłością, iż przyrzekł jej zupełnie seryo ślubny związek. Wyjechał więc tylko jeszcze na kilka tygodni w pilnych sprawach służbowo-wojskowych, poczem bezzwłocznie po powrocie zaręczył się z nią i w cztery dni później wziął ślub jaknajformalniejszy.

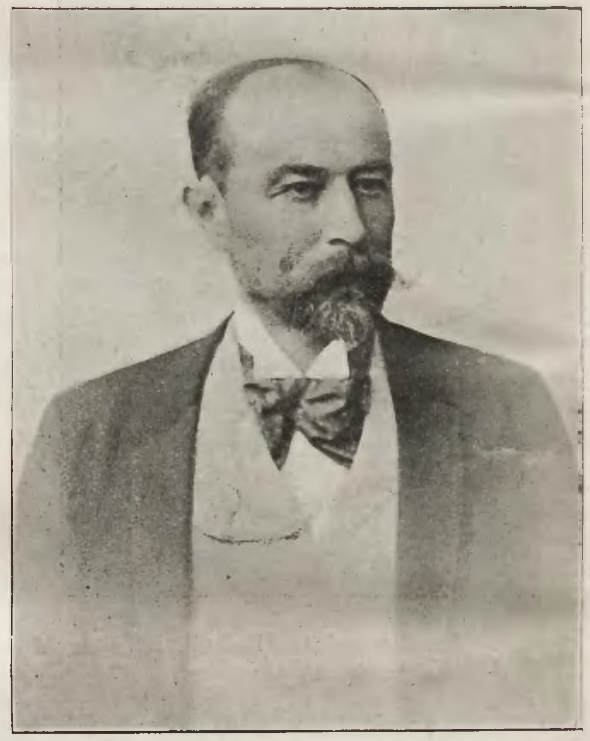
Państwo młodzi i, jak widzimy na fotografiach, istotnie bardzo młodzi (on ma dopiero lat 21) wyjechali zaraz po weselu do Paryża, aby uniknąć wzroku ciekawych pań i panów z kół znajomych, zdziwionych tak nagłem małżeństwem i oburzających się na mezaljans, jakim jest w ich pojęciu związek ślubny lorda z aktorką.



Już umarła: Świeżo w Budapeszcie zmarła aktorka węgierska Kornelia Prielle, która mimo 80 lat wieku poślubiła przed kilku tygodniami 30-letniego poetę.

Towarzystwo gospodarskie.

Do najpoważniejszych w kraju instytucyj i do najstarszych zarazem, bo przeszło pół wieku działających, należy galicyjskie Towarzystwo gospodarskie. Założone przez ziemian polskich, ma na celu skupiać ich w swojem łonie, ma popierać ich interesy, a przez to rolnictwo na wyższy posuwać szczebel rozwoju. Liczba członków tego Towarzystwa dziś przekracza cyfrę trzech tysięcy, a obejmuje wszystkich prawie właścicieli większych obszarów ziemskich Galicyi wschodniej. Jakkolwiek tedy Towarzystwo to z polityką nie ma nic wspólnego, to jednak jako korporacya, do której należy



Towarzystwo gospodarskie: Nowoobrany prezes gal. Tow. gospodarskiego, Stanisław Brykczyński.

szlachta, odgrywała i odgrywa niepoślednią rolę w życiu politycznem całego kraju. Na czele jego lub w pierwszych szeregach stali zawsze ludzie najwybitniejsi, między innymi np. Adam ks. Sapieha, Grocholski, Abrahamowicz, Jaworski, Dzieduszycki i t. d., a ostatnio dr. Włodzimierz Kozłowski, jeden z przywódców stronnictwa podolskiego. Ze stanowiska prezesa Towarzystwa gospodarskiego ustąpił dr. Kozłowski w zeszłym tygodniu podczas walnego zgromadzenia tego Towarzystwa, następcą zaś jego został wybrany zasłużony wiceprezes p. Stanisław Brykczyński, którego podobiznę podajemy dziś z tej okazyi, obok portretu jego poprzednika, a honorowego członka Towarzystwa.

Nazwisko dra Włodzimierza Kozłowskiego znane jest powszechnie w całym kraju. Jest on od wielu lat posłem do Rady państwa i do Sejmu krajowego, parlamentarzystą ze względu na swą wszechstronną wiedzę, mrówczą pracowitość i niepospolitą swadę, bardzo wybitnym.

Następca jego pan Stanisław Brykczyński, również poseł sejmowy, jest znakomitym znawcą stosunków krajowych, co daje rękojmię, iż Towarzystwo pod jego rządami rozwinie się jeszcze świetniej, jeszcze pomyślniej.



Pan, który ukradł milion: Proces przed sądem paryskim kasyera bankowego, Jana Gallaya, który w jesieni zdefraudował milion franków i zbiegł z kochanką do Brazylii najętym jachtem. (na górze pod strażą Gallay w binoklach, z boku jego kochanka Merelli).

Już umarła...

Przypominają sobie nasi Czytelnicy ową 80-letnią aktorkę węgierską, która przed kilku tygodniami z miłości poślubiła 30-letniego poetę. Pisaliśmy wtedy o tem niezwykłem małżeństwie, które tyle hałasu narobiło w całym świecie i obiegło prasę na obu półkulach jako sensacya nielada. Zamieściliśmy wówczas illustracyę, przedstawiającą „młodą parę“ w ogrodzie nazajutrz po ślubie: on, który mógłby być jej wnukiem conajmniej — stał poza wózkiem-fotelem, na którym siedziała ona, nie babcia, lecz „młodziutka mężatka“... I oto dajemy dziś nowy portret tej samej Kornelii Prielle, zasypanej kwiatami w dzień ślubu, lecz zamieszczamy go z innej okazyi. Rozkochana w swym młodym mężu staruszeczka umarła właśnie w Budapeszcie, po paru tygodniach zaledwie szczęścia małżeńskiego, a umarła spokojnie... na uwiąd starczy, zostawiając mężowi ogromny majątek i wspomnienie serdecznej miłości. A jak przy ślubie miała za świadków najpierwszych dygnitarzy węgierskich, tak i na pogrzebie jej zjawili się przedstawiciele najwyższych sfer peszteńskich, nieboszczka bowiem w ciągu długiego żywota swego położyła, jako pierwszorzędna artystka, wielkie zasługi dla narodowej sceny węgierskiej.

Pan, który ukradł milion.

Ukraść cały milion franków — to nie bagatela. To też dwa razy do roku nie dzieją się takie rzeczy i od jesieni ubiegłej, kiedy w Paryżu zdarzył się tak niesłychany wypadek, nie znalazł się jeszcze nowy złodziej tej miary.

A pamiętają Czytelnicy portretowanego u nas w październiku Jana Gallaya, kasyera Banku dyskontowego w Paryżu, który zdefraudowawszy za jednym zamachem okrągły milion franków, uciekł



Wielka instytucya z niczego: Budowniczy Stanisław Trembiński, twórca i kierownik nowych kuchni ulicznych dla głodnych w Warszawie.

Powstały z niczego — w znaczeniu materyalnem; powstały za to z tak bogatej skarbnicy, jaką jest miłość ubogiego, współczucie dla nędzy ludzkiej skojarzone z pomysłowością, ofiarnością i ener-

mieszczenie, wystawienie, urządzenie, obsługa, żywność, jej przygotowanie i codzienne rozdawnictwo — jeśli mówię, na to wszystko z ostatecznym rezultatem stu tysięcy obiadów, wydano dotychczas zaledwie 566 rb, 42 kop. Suma ta nieproporcyonalnie, śmiesznie nieznaczna w stosunku do takich rezultatów, świadczy najlepiej o tej kolosalnej zabiegliwości i założyciela p. Trembińskiego i utworzonego pod jego przewodnictwem komitetu i tych zacnych pań i młodzieży, którzy wszyscy, jak mogą, pomagają w pracy wspólnej.

Myśl instytucyi nasunęły p. Trembińskiemu spostrzeżenia, poczynione w czasie pierwszej szeroko rozwiniętej akcyi ratunkowej po wielkim strejku. Rozdzielane wówczas przez różne komitety bony, na produkty żywnościowe nieosiągały celu. Głównie zaś zawodziły przez to, że otrzymanych ziemniaków czy kaszy czy mąki nie miała „nędza“ przy czem ugotować! Ona potrzebowała strawy gotowej, posilnej, gorącej, a nie miała ni na ogień, ni na sól, ni na przyprawę. I oto początek rzeczy. Budowniczy Trembiński obmyślił akcyę inną, lepszą, pewną, a trafiającą wprost do celu: gorącej strawy. Obmyślił zatem najprostszego typu kuchnie, z kotłami odpowiedniej wielkości, które potrzebowały tylko byle czterech ścian i dachu.

Założono takich kuchni trzy: przy ul. Bagatela l. 11, przy ul. Mińskiej l. 25 na Pradze i przy ul. Tarczyńskiej l. 19.

Ogólny zarząd objął komitet centralny z panem Trembińskim na czele, zaś każdą z kuchni zajmuje się i opiekuje specyalny komitet, który czyni zakupy, prowadzi kontrolę, warzy i wydaje strawę. W tej pracy zjednoczeni są tak ci ubodzy, którzy otrzymują obiady, jak ci, którzy je przygotowują. Ziemniaki skrobią ofiarne panienki obok robotnic, które i same obiad dostaną i ich mężowie, ojcowie czy bracia, gdyż celem instytucyi nie jest jałmużna, lecz zjednoczenie wszystkich przy wspólnem działaniu, dla ulżenia nędzy i biedzie, powstałej z braku





Wielka instytucya z niczego: Nowe kuchnie uliczne dla głodnych w Warszawie, utworzone przez Stanisława Trembińskiego.

na samochodzie z kochanką swoją Walentyną Merelli do najbliższego portu i tam cały jacht sobie wypożyczywszy, jako bogaty bankier, popłynął szczęśliwie do Brazylii. Ale tu go już pochwycono i odstawiono fałszywego milionera do więzienia śledczego z powrotem do Francyi.

Teraz pan ten stanął już przed sądem w Paryżu wraz ze swą kochanką. Widzimy go właśnie pod strażą na ławie obwinionych na załączonej tu rycinie, w czasie czytania aktu oskarżenia. Wyrok już zapadł. Skazano Gallaya na 7 lat ciężkiego więzienia, jego zaś towarzyszkę uwolniono, ponieważ udowodniła, że poznawszy Jana, była przekonana, iż jest on bogatym baronem, a nie kasyerem bankowym.

Wielka instytucya z — niczego.

Tak w samej rzeczy, wielką musi być instytucya, która ocaliła od głodowej może śmierci tysiące ubogiej ludności w Warszawie za pomocą wydawania codziennie gorących obiadów w ilości stu tysięcy w przeciągu nieledwie dwu miesięcy! Instytucya ta — to zillustrowane tu dziś przez nas kuchnie uliczne, pomysłu, wykonania i kierownictwa budowniczego p. Stanisława Trembińskiego (oto jego portret).

gią przedewszystkiem swego twórcy, a w dalszym rzędzie tych, którzy myśl i usiłowanie poparli, czy poparciem moralnem czy współpracą czy wdowim groszem. Zabrakło tu bowiem magnackiego, bankierskiego a nawet tego przeciętnego mieszczańskiego, skoro wszystkiego, na co się składa po-



Wielka instytucya z niczego: Nowe kuchnie uliczne dla głodnych w Warszawie.

pracy i zarobków. Zatem czynności współpracowników wszystkie honorowe, z wyjątkiem kucharek, które są płatne. Za obiad, kto może, płaci 2—3 kop. dorosły, połowę tego dzieci do lat 12. Oczywiście tych płatnych stosunek mały, znikająco mały, bo 1 na 150 bezpłatnych. Lecz nikomu nie daje się strawy w formie upokarzającej jałmużny, lecz jako pomoc zwrotną, gdy zmieni się jego dola na lepszą, Dorosły otrzymuje litr zupy, dziecko połowę tego. Zupa przygotowuje się z produktów jak najlepszego gatunku. Środków dostarcza tylko ofiarność publiczna, — niestety, jakże skąpa, jak mała! Aż żal i wstyd. Warto widzieć tę wszędzie obecną zabiegliwość p. Trembińskiego i tych dzielnych a ofiarnych jego współpracowniczek, jak opiekunka kuchni przy ul. Bagatela panna Felicya Bąkowska, sięgająca chochlą i po tysiąc razy na dzień do kotła, lub jak opiekunka kuchni przy ul. Tarczyńskiej p. inżynierowa Steinmanowa. Bo po obiady dla wszystkich przygotowywane zgłaszają się wszyscy bez różnicy wyznań ni narodowości, ni partyj; wystarcza jedyna kwalifikacya: ubóstwo.

Pomóżcie im tedy w imię... głodnych!

Bejot.

Plotki lwowskie.

(Wykupno tramwaju jako dobry interes. — Jeszcze o p. Grąbczewskim. — Skarbkowska 16. — Deklamacya p. Mokrzyckiego. — Heller i jego święci).

Obok dalszych procesów sądowych pana Grąbczewskiego, co już przestało robić sensacyę, najważniejszym faktem ubiegłego tygodnia jest wykupno tramwaju konnego wraz z końmi, konduktorami, woźnicami i kamienicą, która to sprawa już bardzo długo zaprząta umysły mieszkańców, a ostatecznie w ubiegłym tygodniu na chwałę naszej rady miejskiej, a na pożytek miasta, dobiegła szczęśliwie do końca. Wprawdzie zapłaciło teraz miasto za tramwaj o kilkadziesiąt tysięcy więcej, aniżeli samo towarzystwo tramwajowe dopiero przed rokiem żądało, ale gdy się uwzględni, że od roku konduktorowie się postarzeli, posunęli w pensyach i doświadczeniu, że konie zjadły dużo owsa, a niektórym w miejsce wylazłych sprawiono nowe ogony, że wozy zyskały prawie na wartości, wprawdzie nie dla lepszego ich stanu, ale jako antyki nadające się do muzeum starożytności, i że szyny bądź pływają po błocie, bądź wiszą między niebem a ziemią, stanowiąc nierozwiązalną zagadkę dla zagranicznych techników — gdy się to wszystko uwzględni, należy przyznać, że miasto pomimo wyższej ceny zrobiło na tem kupnie doskonały interes.

Ale interes jest dla obu stron dobry. Tramwaj z prywatnej instytucyi przemienił się odrazu w miejską, konduktorzy, konie i ich potomstwo będą odtąd funkcyonaryuszami magistratu, a szyny będą symbolem drogi, którędy chadza gospodarka miejska. Lecz to wszystko tylko do przyszłego lata, kiedy miasto przystąpi do rozszerzenia sieci kolei elektrycznej. Co się potem stanie z inwentarzem tramwaju konnego, jeszcze niewiadomo.

Najprawdopodobniej posłuży on do założenia miejskiego zakładu pogrzebowego, ile że wozy dadzą się bardzo dobrze przerobić na karawany a konduktorzy na karawaniarzy. Tylko niektóre konie trzeba będzie koniecznie przemalować na czarno, bo większość koni tramwajowych składa się z samych blondynów.

Jak z powyższego przedstawienia rzeczy widać, pomysł wykupna tramwaju konnego był świetny a skutki jego są wprost nieobliczalne. Mamy więc obok wyjazdu p. Grąbczewskiego jeszcze jeden powód do uciechy.

Co zaś do p. Grąbczewskiego, to już naprawdę współczuję z nim, skoro pomyślę, że źli ludzie uwzięli się, ażeby mu drogą procesów sądowych odebrać to, co sobie uciułał we Lwowie. Od jakiegoś czasu stoi ciągle w sądzie i płaci. Podobno nawet ci wszyscy, którzy w ostatnim miesiącu podpisali umowę na kilka gościnnych występów w teatrze miejskim, musieli w kontrakcie dodać klauzulę: „Obowiązuję się zarazem dyr. Grąbczewskiego nigdy nie pozywać do sądu“. Adwokat p. Grąbczewskiego z powodu wycieńczenia udaje się do Włoch na kilkutygodniowy odpoczynek, radca Philip, rozsądzający te spory, prosił również o dłuższy urlop, a dyr. Pawlikowski zachorował na jakieś bliżej nieokreślone wstrząśnienie i od pewnego czasu nie wtrąca się w porządki operowe.

Za to wszystko może sobie jednak p. Grąbczewski powiedzieć, że żaden aktor, żaden kierownik, żaden artysta Colosseum nie zostawił po sobie tylu przyjaciół, takich recenzyj i osobnych artykułów dziennikarskich, tylu sprawozdań z procesów sądowych, tyle kpin, drwin, śmiechu, politowania i innych znaków popularności, ile on, on jeden: p. Wiktor Grąbczewski. To też dał sobie słowo honoru, że do Lwowa już nigdy nie powróci, do czego ma dwa słuszne powody: raz, że Lwów okazał mu się grubo niewdzięcznym, jak dotąd nigdy żadnemu artyście, a po drugie, że do Lwowa by go już nie wpuścili.

Zal nam więc nie tyle za samym panem Grąbczewskim, ile za sensacyami, które dzięki jemu mieliśmy co drugi dzień, a do których przyzwyczailiśmy się, jak banki do defraudantów, publiczność do klakierów, obywatele do egzekucyj podatkowych, policyanci do konsulów i konsulowie do policyantów.

Skłamałby jednak, ktoby twierdził, że my już poza panem Grąbczewskim nie mamy własnych swojskich sensacyj, choćbyśmy tylko dla przykładu w spacerze po Lwowie zatrzymali się na chwilę przy ul. Skarbkowskiej l. 16, gdzie do zeszłego tygodnia mieściła się znana i renomowana świątynia najwolniejszej miłości. Kapłanką tej świątyni była pani Kosińska, która w swoich gościnnych salonikach podejmowała lwowskie Fryny i Astarty, te z urzędu i dyletantki a nawet adeptki, umożliwiając im przebycie kilku rajskich momentów w zacisznym kątku, zdala od gwaru wielkomiejskiego i czujnego oka wykiwanych mężów i narzeczonych.

Sensacyą właściwie nie jest to, że przy ul. Skarbkowskiej l. 16 była świątynia miłości, bo takich przybytków tajnych jest we Lwowie bardzo wiele, ale sensacyą jest, że policya ten przybytek odkryła, a raczej, że wiedząc o nim już dawno, zdecydowała się nareszcie zamknąć go i ogłosić jego dzieje a swoją czujność w dziennikach. Powodem tego dzielnego kroku naszej policyi był list anonimowy.

Ale sam fakt zamknięcia wywołał w całem mieście, a zwłaszcza w sferach interesowanych, wrażenie. Nic dziwnego... Miejsce pamiętne tysiącem gorących westchnień, milionem palących pocałunków i słodkich szeptów zakochanych par, zamknięte i opieczętowane brutalną ręką niewyrozumiałej policyi.. Zasmucił się opuszczony ołtarz Astarty, a jego kapłanka poszła do kryminału. A więc: Rynek 43, Ormiańska 17, i Skarbkowska 16 — to posterunki dotąd stracone, a ich kapłanki *in partibus infidelium* szukają gruntu pod nową świątynię. Inne jeszcze prosperują. Lwowska policya ma podobno rejestr tajny, w którym skrzętnie notuje wszystkie karambole z odnośnem przykazaniem bożem, a w tym rejestrze mieszczą się nazwiska, o jakich nie śniło się tym, którzy swoim żonom te nazwiska dali z całem zaufaniem głupich i ślepych mężów. Są tam panie znane z cnót i miłosierdzia, panie, których mężowie piastują znakomite urzędy i godności, a jednak...

Bo to już taki świat i ludzie, a zwłaszcza one, te nasze piękne, okrutne i niepoprawne, jak długo piękne, jak długo młode... Ma się rozumieć, że nie wszystkie, ale też i nie mało ich, a dalej ma się rozumieć, że nie same są winne, ale zawsze jest przytem ktoś z wąsatych lub przynajmniej z miejscem na wąs... Dlatego słusznie radzi radny p. Mokrzycki (o którym jeszcze coś dziś powiemy), żeby podzielić miasto na dwie nierówne połowy, osobną dla pań a osobną dla panów, tak jak galerya w sali ratuszowej.

Prócz tego p. Mokrzycki, najdowcipniejszy z radnych lwowskich, miał w tym tygodniu sposobność wygłosić dłuższą mowę, która na długo zostanie w pamięci słuchaczy. Dzięki znajomości z najgrubszym i najdyskretniejszym reporterem udało mi się dostać oryginał mowy podług stenogramu, a że lwowskie dzienniki przeszły nad tą perłą krasomóstwa do porządku, przeto uważam za stosowne uratować to cacko od niechybnej śmierci przez zapomnienie i powtarzam cały ten utwór czy upust fantazyi znakomitego radcy w całości:

„Panowi! Ta wy wici, co ja do chulery ciężki nie jezdem radny od parady, ali mam wszyski klepki w kupi tam gdzie się należy — nu, brawo cy ni brawo? *(Brawa)*. A widzici! Więc wedle tego co tu mój następca gadał przed chwilą i furt bajtlował o te durny drodżyzny, to ja panom gadam, co to wszystko jest pani dzieju do dubyny. Oraz jeszcze to panom powim, albo nie, panowi, powidzi mi panowi, na co my si mamy wtrącać z naszym nosym do te drodżyzny!? Co nas obchodzi, co w mieści jest drożyzna cy tanizna? Ja panowi jezdym mądry człowik, o tym panowi już wici dawno. *(Potakiwania)*. Dziękuji panom, ali prosze was panowi co was to obchodzi, cy w naszych jatkach je drogo cy ni? Aby było mięso fajne oraz bez kości, ale co wam do tego, ili my bierzemo za mięso, ha? Nu ni? *(Brawa niemilknące)*. Ale przepraszam, proszy mi przypuścić do słowa! Bo nasz magistrat to jest tak jak ta krowa, naprzód furt głupstwa robi, a potem si rumieni. Nu ni?! My tu u Lwowi ni mamy żadny drożyzny, ali ouszym jest bardzo przyjemni! A w naszym majstraci ino furt kalkulujom, jakby ino zaradzić te drożyzny, który nawyt nima. Sprowadzilismo męso prowincyonalny, założyli końskie męso nie wiedzieć, na jaki chulery, bo przeci my, już tu daumo sprzedawali taki koniny. Potem jakiś tani upał, co nikomu nic do tego cy mnie ciepło cy mnie zimno, a wreszcie jakiś pikarni miejski i jakiś do cholery ciężki — miejski zakład pogrzybowy *(brawa bez końca)* zaraz, proszę nie przerywać, co to niby je największy nonsens, bo my nie św. Piotr, abyśmo si starali o niboszczyków. A moży panowi jeszcze chceci założyć jakiś miejski pralni? Miejski tyngel? Może odkupimy Colosejum Hermanów z dziwkamy, ha? *(Wesołość i brawa)*. Co do rzeźni, gdzie byli nawet żywy obrazy, to ja sobie zastrzegam głos na potem, ali co do ty drożyzny to mnie si akuratni przypomina ten byk, ktoren jak mu ucięli ogon, to on milczał, ali jak na niego spadł listek, to on nie ryczał, czy jak tam, bom już to dawno czytał, to nie pamiętam. No więc zdaje m się, że panowi już zrozumieli o co chodzi, braw cy ni brawo? *(Huczne brawa — wesołość)*. Nu, wię nie zakręcajcie nam kontramajtki z jakąś droż zną, bo mnie się przypomina właśni ta panie dziej krowa, która z przeproszeniem dużo ryczy a nigd nie ukąsi cy jak tam. Panowi, ja jezdem taki f nansista, że wy o tem nawet nie wicie. Więc dla czego wy panowi występujecie przeciw drożyźn która dziś jest w modzi, bo dziś wszysko podro żało. Ja dawni jakim dał czeladnikowi albo kom innemu w pysk, to zapłaciłem w sądzi piątkę, a dzi jak daję komu w pysk, to już mi w sądzi każą płacić dziesiątkę, bo i to widać podrażało. A ja si wcali ni dziwuję, bo ja panowi jestem finansista — brawo cy ni brawo“?

Mowa p. Mokrzyckiego wywarła wprost szalone wrażenie. Kilkunastu rajców zapadło na spazmy, trzech musiano wynieść ze sali na noszach, cała Strzelnica się wściekła, a jej członkowie wzajemnie się pokąsali, dwóch rajców udusiło się ze śmiechu, a jeden pękł i tylko dzięki ciasnemu garniturowi nie rozleciał się w kawałki. Prezydyum postanowiło odtąd zapowiadać zawsze naprzód interesujące występy pana Mokrzyckiego i wpuszczać publiczność za wstępem. Najbardziej interesującym będzie jego występ w sprawie teatralnej na jednem z najbliższych posiedzeń Rady.

Bo choć już pewnem jest, że teatr miejski otrzyma Heller, to jednak musi ta sprawa przejść przez wszystkie instancye, będzie się nad tem dużo debatować i radzić, ażeby w końcu uchwalić to, o czem już dawno wiedzą wróble na dachu ratuszowym. Inna rzecz, że już niektórzy ludzie kują żelazo póki gorące... A każdy ma swój interes... Ten chce, by jego protegowana dostawała lepsze role, inny chce kogoś wkręcić, inny kogoś wykręcić, znów inny poluje na posadę — to wszystko daleko sięgające plany wymierzone w Hellera. A Heller pracuje... Pisze artykuły, odkrywa wrogów, demaskuje przyjaciół, a przedewszystkiem już dziś liczy, liczy, liczy... Obawiam się o Hellera... Kiedy Japończykom świetnie się wiodło, niejednokrotnie w prasie zagranicznej wyrażano obawę, że upoją się własnem powodzeniem, we łbie im się przewróci i gotowi się potknąć... Ale Japończycy, to wschodnia spokojna natura, oni się nie dali... Heller to człowiek zachodni, energiczny, pracowity, ale szybki, nawet raptus... Obawiam się o Hellera, by mu się nie przewróciło w głowie... Popierają go, pchają ze wszystkich stron, ale to nie tylko mu nie doda równowagi, lecz i owszem, może go jej pozbawić. Znana to bajeczka o owym Mazurze Wojtku, który uważał konia przed karczmą a sam wstąpił na wódkę. Po godzinie wyszedł z karczmy urznięty i w żaden sposób nie mógł na konia się wygramolić.

— Święty Walanty dopomózta! — podskoczył, ale nie idzie...

— Święty Józefie — woła dalej Mazur — dopomózta! — próbuje dosiąść konia, ale nie szło..

— Święty Jantoni dopomózta! — podskoczył trzeci raz, ale daremnie.

— Wszyscy święci dopomózta! — zawołał Wojtek i w tem przekonaniu, że mu wszyscy święci są pomocni, skoczył tak silnie, że aż przeleciał na drugą stronę, a po drodze woła:

— Hola, hola, nie wszyscy razem!

I p. Heller mógłby zawołać:

— Hola, hola, nie wszyscy razem, ale... póki czas...

Niech p. Heller nie bierze zbyt wielkiego rozpędu, niech nie wzywa wszystkich świętych...

Klewe.

Kącik humorystyczny.

W nadmorskiem miejscu kąpielowem.

— Patrz, Aronie, na moje formy! Nie dość tego bogactwa? Co?

— Ny, Salczu — jak na nasze stosunki — to za mało!...

Przed sądem.

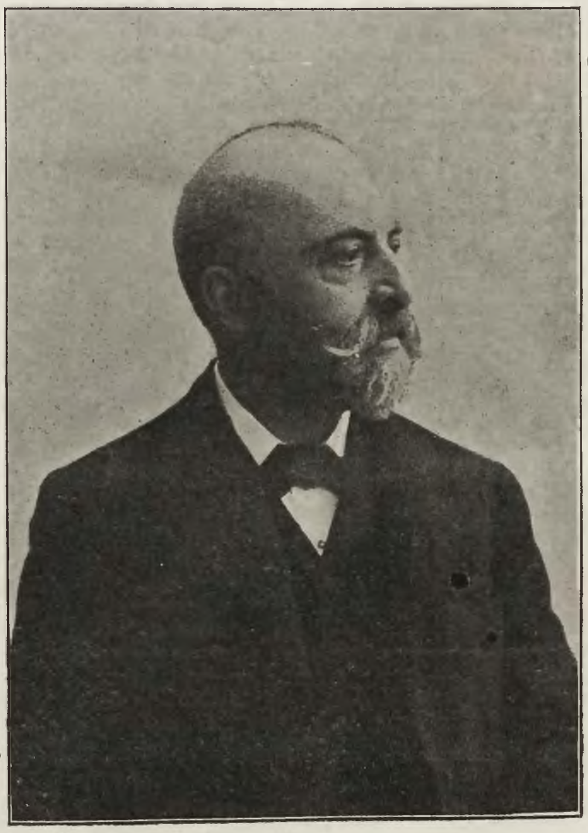
Sędzia: Oskarżony tu jesteś o to, żeś rzucił przez okno butelką na przechodzącego pana Y. i o mały włos, a byłbyś mu rozbił głowę.

Obrońca X: Prześwietny Trybunale! Znając mojego klienta od małego dziecka, mogę stanowczo powiedzieć, że ten, który flaszką przez okno rzucił na oskarżyciela, nie był mój klient, bo gdyby on był rzucił butelką, to byłby oskarżonemu na pewne głowę rozbił. Z tych zatem powodów proszę o uwolnienie mego klienta...

Leopold Auer.

Berlioz w swych rozprawach o narodowości w muzyce wypowiedział zdanie, stwierdzające arystokratyczność sztuki:... że im szerszym strumieniem płynie produkcya artystyczna w danym kraju, tem rzadszymi są osobniki genialne. Jeśli mowa o skrzypcach i przedstawicielach najwybitniejszych mistrzów tego instrumentu, to żaden może z krajów nie stanowi tak dobitnego potwierdzenia tego niezupełnie może słusznego poglądu, jak Węgry, gdzie tylu skrzypków, a tak niewielu mistrzów smyczka, uznanych przez cały świat artystyczny. Poza Hubayem i kilku innymi jeszcze imionami, ziemie św. Szczepana nie dały Europie tak wielu i tak wybitnych skrzypków-wirtuozów jak np. Włochy, Francya, Belgia, Niemcy lub Słowiańszczyzna z Czechami na czele. A dotąd przynajmniej poza domorosłą, dziką, cygańską wirtuozeryą swego rodzaju, nie stworzyły Węgry odrębnego typu skrzypka wirtuoza, ani też odrębnej szkoły wirtuozowskiej. Mają jednak kilku przedstawicieli tej dziedziny, godnych stanąć w szeregu marszałków świata skrzypcowego.

Jednym z tych największych skrzypków węgierskich jest Leopold Auer, którego podobiznę podajemy obok, a którego, za dni kilka usłyszymy w Krakowie. Należy on do starej gwardyi, do tej grupy wyznawców klasycyzmu w wirtuozeryi, która wyszła z pod mistrzowskiej ręki pedagoga nad pedagogami, wielkiego maestra Joachima; jego to Auer jest jednym z najwybitniejszych uczni, a bodaj czy nie najwybitniejszym.



Leopold Auer.

Auer jest z urodzenia Węgrem, gdyż światło dzienne ujrzał w Beszprem w styczniu 1845 r. Już w zaraniu swej młodości okazywał wyjątkowe uzdolnienie muzyczne. Pielęgnowali też niezamożni rodzice, jak mogli najlepiej, widoczny talent, starając się dać chłopcu jaknajlepsze wychowanie i wykształcenie ogólne, wiedząc, iż poza wykształceniem muzycznem, jest dla artysty koniecznem także i wykształcenie ogólne. Na studya gimnazyalne wysłano młodego Leopolda do Pesztu, gdzie równocześnie uczęszczał do tamtejszego konserwatoryum. Tu mistrzem mu był zdolny skrzypek i niezły pedagog Ridley Kohn. Przygotował on Auera tak, iż tenże został przyjęty (1887) przez takiego mistrza jak Dont, na najwyższy kurs gry skrzypcowej w konserwatoryum wiedeńskiem. Kończy je z najwyższem odznaczeniem. Ostateczne wykształcenie wirtuozowskie otrzymał od Joachima, przebywającego wówczas w Hanowerze. Rok 1863. był początkiem karyery artystycznej Auera, w roku tym bowiem otrzymuje stanowisko koncertmistrza orkiestry w Düsseldorfie, przedsiębiorąc równocześnie podróż koncertową po Węgrzech i Niemczech. W r. 1866 zamienia stanowisko to na takie same, lecz zaszczytniejsze w Hamburgu. Auer koncertuje z wielkiem powodzeniem w całej Europie, ceniony wysoko, tak dla wielkiej, wszechstronnej techniki, jak i dla wybitnej inteligencyi muzycznej, pozwalającej mu z artystycznego popisu estradowego, robić coś więcej nad zwykłą miarę. Zaproszony (1878) na koncertmistrza cesarskiej orkiestry w Petersburgu, obejmuje następnie w 1886 r. stanowisko profesora gry skrzypcowej w tamtejszem konserwatoryum, na którym to posterunku, odznaczony orderami, szlachectwem dziedzicznem, a w końcu i tytułem radcy cesarskiego, pozostaje do dnia dzisiejszego. W jednej z licznych jego wycieczek artystycznych po cesarstwie towarzyszył znakomitemu skrzypkowi prof. Jerzy Lalewicz. Jego to poleceniu zawdzięczamy sposobność usłyszenia Auera, który syt sławy i dostatków, koncertuje obecnie niechętnie, oddając się z zapałem pracy pedagogicznej i artystycznej.

— *urs.* —

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

28 Ciąg dalszy.

— Jeśli to ma być zbrodnią, że uciekłam ze znienawidzonego domu w towarzystwie człowieka, którego musiałam uważać za mego jedynego przyjaciela, to niemam nic do powiedzenia na moje usprawiedliwienie, bo to jest czcza prawda!

— I ty uczyniłaś to dobrowolnie? wiedziałaś, że on podaje cię wszędzie za swoją żonę?!...

— Wiedziałam o tem i powiadam raz jeszcze, że nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, jeśli to wystarcza, aby mnie potępić!...

Nastała chwila grobowej ciszy. Wszelkie porozumienie się było już teraz wykluczone. Dobrze obmyślana gra doktora Harrasa wydała spodziewane skutki. Archer oddychał ciężko i uczuł, że traci moc panowania nad sobą, więc wziął kapelusz i skierował się ku drzwiom.

— Bywaj zdrowa, Heleno! — szepnął z boleścią — miałem nadzieję, że nasze spotkanie będzie inne, że zobaczymy się w innych okolicznościach i warunkach! Lecz skoro to małżeństwo ma być dla ciebie szczęściem — ja ustępuję. Bywaj zdrowa, więcej o mnie nie posłyszysz, a niebo niech cię strzeże od trosk i cierpień w twem życiu!

Drzwi zamknęły się za Amerykaninem i nieszczęśliwe dziewczę posłyszało już tylko, jak szybko zbiegał ze schodów. Helena była tak przygnębioną i złamaną, że sił jej zabrakło, aby opuścić pokój. Usunęła się na krzesło i usta jej poczęły szeptać gorącą modlitwę, w której prosiła Pana niebios, by nie pozwolił jej przeżyć tej godziny, by raz zakończył te męczarnie. I w tej chwili u zuła, że ktoś sparł się na jej ramieniu, a gdy przestraszona podniosła oczy, zobaczyła owego siwego pana, którego poznała w domu stryja, a który przyjął ją w czytelni i przyprowadził potem do pokoju Archera.

Staruszek zaczął ją pocieszać i prosić, aby nie poddawała się smutkowi, a czynił to z taką delikatnością i tak umiał przemówić do duszy dziewczęcia, że Helena powoli przyszła do siebie i poczęła zwierzać mu się ze swoich cierpień. Komisarz zaraz z pierwszych jej słów poznał, jaką nienawiść czuje biedne dziewczę do swych krewnych, jak nieszczęśliwą jest w pośród nich i jakby chciała się wyrwać z tego domu. Postanowił więc odkryć przed nią karty i choć w części powierzyć jej tajemnicę, nie zdradzając jej jednak całej grozy tej zbrodni, którą popełnił Franciszek Springer do spółki z Harrasem.

Powiedział jej tylko, że młody Amerykanin dziwnem zrządzeniem losu wpadł na trop strasznej krzywdy, jaką wyrządzono Rudolfowi Springerowi i że natychmiast przybył do Europy, aby wykryć sprawców tej krzywdy i pociągnąć ich do odpowiedzialności. Policya nie mogła mu odmówić swej pomocy i z całą chęcią pomoże jej do wydobycia się z rąk stryja i opiekuna, skoro tylko podejrzenie, które powziął Archer, ukaże się uzasadnionem. Dla potwierdzenia tych słów Berman zdjął swą siwą brodę, która zmieniała twarz jego do niepoznania i Helena odrazu przypomniała sobie, że ma do czynienia z tym samym komisarzem, co przed paru miesiącami spisywał z nią w Hamburgu protokół po śmierci ojca. Nie miała więc powodu, aby mu nie wierzyć i nadzieja, że przecież w końcu zdoła się uwolnić z rąk swych prześladowców, zrodziła się w jej sercu z nową siłą. Z całą dokładnością opowiedziała komisarzowi wszystko, co ją spotkało od chwili, w której weszła pod dach Springerów, aż do opowiadania starego Najperta i ucieczki z Cezarem, nie tając nawet najdrobniejszych szczegółów.

Podczas jej opowiadania twarz komisarza przybierała coraz bardziej poważny wyraz, a gdy Helena skończyła, uścisnął z współczuciem jej drobną rączkę.

— Podziękuj pani swojemu prawdziwemu przyjacielowi Archerowi, panno Heleno! — rzekł — jeśli cierpienia pani niebawem się skończą. Gdyby nie jego energia, sprawność i współdziałanie, to zbrodniarze długoby jeszcze kryli się pod maską uczciwych ludzi, i kto wie, czy ogółem kiedykolwiek spotkałaby ich tu na ziemi zasłużona kara. Na podstawie zgodnych wiadomości, które tutaj zebrałem, mógłbym już zaaresztować obu tych łotrów, ale obawiam się, czy zechcą przyznać się sami do zbrodni, a nasz materyał dowodowy jest jeszcze za słaby. Będę więc dalej grał moją rolę i postaram się o lepsze dane. W każdym razie zaręczam pani, że tylko parę dni jeszcze spędzisz w tym domu i że otrzymasz zupełne zadośćuczynienie, bo winni zostaną surowo ukarani!

Helena z wdzięcznością pożegnała się z poczciwym komisarzem, a ten natychmiast pojechał na dworzec, aby pociągiem pospiesznym powrócić do Hamburga, gdzie miał także inną ważną sprawę do załatwienia.

Pojedynek i jego skutki.

Nastał zimny, posępny poranek zimowy. Wśród drzew małego lasku, położonego tuż pod miastem, który został obrany przez sekundantów na plac boju, tumany mgły zwieszały się jeszcze, lecz słychać było ponury krzyk wron i kawek zbudzonych krokami małego towarzystwa, które zjawiło się punktualnie.

Archer z niemałem zdziwieniem dowiedział się, że nie prowadzono żadnego doktora i nie mógł powstrzymać się, aby nie zapytać jednego z sekundantów, dlaczego odstąpiono od tej tak ważnej reguły pojedynku. Zagadnięty wzruszył ramionami i odparł chmurnie:

— Musieliśmy się wyrzec tego, by sprawę załatwić jak najprędzej i bez niepotrzebnego hałasu. Ale jeśli pan tego żądasz, do czego masz zresztą zupełne prawo, to pojedynek musi uledz zwłoce!...

— O! bynajmniej sobie tego nie życzę! — rzekł chłodno Amerykanin.

Tymczasem drugi sekundant laskami oznaczył metę i poprosił przeciwników, aby zajęli swe stanowiska. Ci zdjęli płaszcze i spełnili rozkaz. Wówczas podano Archerowi oba pistolety, a gdy Amerykanin wybrał broń, Cezarowi wręczono pozostały pistolet i jego sekundant tak obojętnym tonem, jakby spełniał całkiem bezużyteczny obowiązek, zapytał przeciwników, czy nie byliby skłonni do zgody i nie chcieliby sprawy załatwić bez orężnego spotkania. Zanim jednak Amerykanin zdołał otworzyć usta, Cezar oświadczył pewnym, choć trochę zachrypniętym głosem, że nie może zadowolić się żadnem wyjaśnieniem, ani też przeproszeniem i wobec tego do pojednania nie przyszło, na co zresztą i Archer nigdyby się był nie zgodził.

Jak dwa kamienne posągi stali obaj mężczyźni na swoich stanowiskach. Teraz dopiero Cezar spojrzał poraz pierwszy na przeciwnika i zdawało się, że oczami pragnąłby go już uśmiercić. Archer zaś z zimną krwią spoglądał na rywala. Wiedział dobrze, że strzeli w powietrze i padnie ofiarą tej nierównej walki, ale ta pewność nietylko nie przestraszała go, lecz owszem dodawała mu spokoju. Po wczorajszem rozczarowaniu życie nie miało już dlań żadnej wartości.

W tej chwili zabrzmiała komenda: „Raz“!

Cezar podniósł pistolet i zaczął mierzyć w skroń Amerykanina, a ręka nie zadrżała mu nawet, Archer zaś stał spokojnie bez ruchu, tak, jakby nie był żywym człowiekiem, lecz tarczą wmurowaną na strzelnicy. Znów upłynęło kilka sekund i znów rozległ się głos po lasku: „Dwa“ — — i równocześnie wbrew umówionym warunkom padł strzał z pistoletu Cezara. Chmurka dymu przysłoniła powietrze, Archer podniósł zwolna lewą rękę do skroni, ale stał niewzruszenie w miejscu i przez chwilę zdawało się, że Cezar chybił. Zanim jednak dym rozwiał się, wysoka postać Amerykanina poczęła szybko maleć, pistolet wypadł mu z prawej dłoni i Archer padł na śnieg bez czucia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

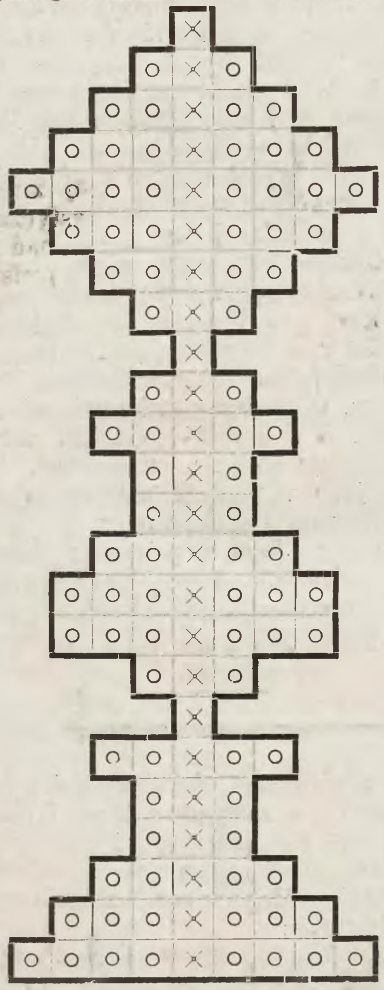
Szarada.

Pierwsze—drugie mkną jak strzały
Dokąd sami chcecie.
Dwa i trzy wam smakowały,
Notabene w lecie.
Całość lubi przy węgrzynie
Cuda prawić o.... zwierzynie.

Zagadka.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły określenie pewnej historycznego znaczenia walki we Francyi.



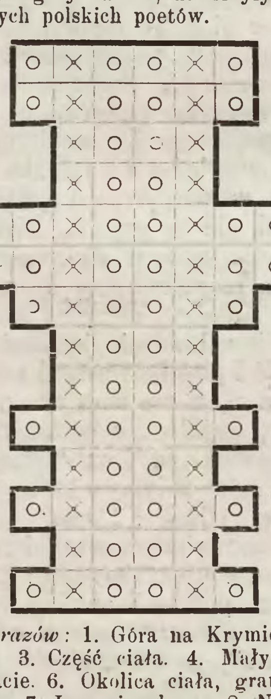
Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Wielka rzeka w Rosyi. 3. Owad. 4. Wyspa na morzu Bałtyckiem. 5. Kraj w północnej Rosyi. 6. Inaczej mahometańskie świątynie. 7. Miasto słynne ucieczką Mahometa. 8. Inaczej fatum. 9. Spółgłoska. 10. Wykrzyknik. 11. Imię żeńskie. 12. Przystań w której budują i naprawiają okręty. 13. Uzębienie mięsożernych. 14. Utwór Kochanowskiego. 15. Miasto i twierdza w północnych Włoszech. 16. Słowianie, mieszkający w północnych Węgrzech. 17. Zaimek wskazujący. 18. Spółgłoska. 19. Miasto na Krymie. 20. Bóg lasów i pasterzy u Rzymian i Greków. 21. Rzeka w Tyrolu. 22. Miasto we Francyi. 23. Wyspa na moru Śródziemnem. 24. Słynny poeta polski.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, a, chy, cre, cy, cy, cze, don, dy, dy, dok, e, f, fin, inn, ka, ka, kły, kercz, kra, lan, lan, li, li, los, maj, me, mek, mo, na, ny, o, pan, sło, siń, ski, sy, so, ten, tre, ty, w, wa, vi, za.

Kryptogryf.

Ułożył Wł. Gawalewicz z Tarnopola

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko dwóch największych polskich poetów.



Znaczenie wyrazów: 1. Góra na Krymie 2. Inaczej front wielkiej budowli. 3. Część ciała. 4. Mały sklepik. 5. Wydział w magistracie. 6. Okolica ciała, granicząca pomiędzy brzuchem a udem. 7. Inaczej zabawy. 8. Napój. 9. Produkt lniany, służący do szycia. 10. Wyspa na Oceanie Spokojnym. 11. Inaczej podmuch wiatru. 12. Ruskie imię żeńskie. 13. Kawał drzewa. 14. Granica pól.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy należy utworzyć: a, a, bor, ce, char, chwi, ci, da, dach, dza, e, fa, ga, ju, kloc, ko, kram, kse, mat, mie, na, ne, ni, nia, no, no, o, pa, rak, sa, wiew.

Logogryf.

Ułożył „Świętojański“ Kraków.

Z następujących głosek: al, al, an, bald, be, bia, bo, bro, cy, cy, cha, des, do, do, dra, e, el, fa, fer, fi, fi, fie, fo, giń, gnu, ha, ho, im, jam, ka, ka, kles, ko, kyn, lan, lais, lip, lon, ma, ma, ment, my, na, na, na, ni, nia, nie, ny, o, o, or, pe, pern, po, pol, psy, pu, ra, ra, ra, rek, ri, ro, ro, ro, ry, słuch, ski, skij, sno, so, so, sty, syp, thos, te, tor, tom, trop, tu, ty, tyn, vi, u, uch, wal, wiec, za, za, y, y — ułożyć 32 wyrazy w ten sposób, aby początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły nazwiska *pięciu*, a końcowe, czytane w tym samym kierunku, również *pięciu* polityków węgierskich, odgrywających w obecnych wypadkach na Węgrzech ważną i wybitną rolę.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. „Kraj złota“ w poezyi miejsce idealnego szczęścia i rozkoszy, 3. Miasto nad Dniestrem na Podolu rosyjskiem. 4. Rzeka w Hiszpanii. 5. Miasto w Galicyi. 6. Miejscowość i stacya kolejowa na pograniczu Galicyi i Węgier. 7. Znakomity poeta włoski z XVIII, wieku. 8. Rodzaj żaby. 9. Miasto w Belgii nad rzeką Yperle. 10. Imię męskie. 11. Tytuł wodzów w starożytnym Rzymie, który potem przeszedł na cesarzów. 12. Znakomity malarz polski. 13. Starożytna nazwa jednej z wysp jońskich, dzisiaj Zante. 14. Polityk i wódz ateński w starożytnej Grecyi. 15. Apostoł Niemców. 16. Miasto portowe we Włoszech. 17. Inaczej wał ziemny. 18. Inaczej przyjaciel ludzkości. 19. Jedna z wysp kanaryjskich, przez którą przechodzi pierwszy południk. 20. Ostatnia litera alfabetu. 21. Sklepione piwnice w twierdzach, znane w Rosyi. 22. Sławny kompozytor polski. 23. Miasto w Królestwie Polskiem. 24. Słynny tragik grecki. 25. Sprzęt domowy. 26. Mieszkaniec Turcyi. 27. Rodzaj skorupiaków. 28. Książę rosyjski. 29 Rodzaj antylopy. 30 Słynny satyryk francuski z XVI. wieku. 31. Inaczaj ozdobny rysunek. 32. Inaczej nieposłuszeństwo.

Arytmogryf.

Ułożyły A. i H. Popielówne w Buczaczu

1
7 6 2
16 8 2 12 [illegible]
13 1 8 6 11 2 3
13 8 2 13 1 12 7 2 13
22 1 5 7 2 15 2 8 14 18 2
1 6 2 6 1 15 4 1 6 1 11 9 7
18 17 1 3 16 1 4 5 16 1 19
21 1 4 20 6 3 7 13 7
12 1 4 1 9 10 14
12 1 11 9 7
2 9 10
7

W miejsce liczb wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły tytuł jednego z najwspanialszych utworów Mickiewicza.

Znaczenie wyrazów: 1 Samogłoska. 2. Imię żeńskie. 3. To, co rośnie na łąkach. 4. Dramat Słowackiego. 5. Taniec polski. 6. Dwa imiona żeńskie, przychodzące w utworach Mickiewicza. 7. ?. 8. Imię i nazwisko najsłynniejszego powieściopisarza rosyjskiego. 9. Koła, opasujące ziemię. 10 Inaczej Rumuni. 11. Wiązania w ciele ludzkim. 12. Wykrzyknik. 13. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya **wspaniałą bombonierkę czekoladek** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru. 8.

Kryptogryf.

R
s a n
C a p i i
R a p a c k i
a k e s a
o k n
i

Rapacki.

Arytmogryf.

K a r a k o r u M
O l b r o m s k I
Ś w i e n c z y C
C z a r w c z y K
I r r a w a d d I
U m o r z e n i E
S ł a w e j k o W
Z a r o d n i k I
. r ó l e w i e C
O n a c e w i c Z

Kościuszko — Mickiewicz.

ZAGADKA.

S z a L
P i t y j u z y
i u r e c a d n c o
J ó z e f R a z j a s z
I g n a c y i J a n
r o n i f e r y
Ż ł ó b
W e r t e r
k a r t u z o k
s w o b o d n y
p o m i d o r y
P o r i s p o m o n o n
a r o k o A n g l i a
S i e n k i e w i c z J a n

Stefan Żeromski — Ludzie bezdomni.

Logogryf.

Ewa
Drawa
Mina
Usta
Narew
Dąbie
Rataj
Ypern
Gerlach
Igła
Eros
Raróg.

Edmund Rygier.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: H. Karatnicka Nadwórna, H. Szczerbowa Majdan, L. Seimówna Kraków, F Kulesza Kraków, Wł. Dobrowolski Mościska, Z Ciechanowska Stary Sambor, St. Łaszkiewicz Dębica, A. Miłkowski Bełz. K. Fuchs Peczeniżyn, St. Gajdeczka Zapałów, J. Aleksandrowicz Kraków, K. Bobek Kraków, O. Piotrowska Kraków, M. Weimerowa Nowy Sącz, N. Auerówna Podgórze, J. Jaroszkówna Nowy Sącz, J Wesoła Lwów. I. Pompianka Kraków, J. Sulkowski Kraków. J Bojuk Bełz, M. Świtkowska Kraków J Duszyński Bochnia, A. Popielówna Buczacz, Bl. Pieterkiewicz Czerniowce. St. Smalawska Staresioło. E Kawinski Pruchnik, J. Robak Kraków, Z. Ehrenberg Kraków, B. Ramułtowa Jeżów, B. Meszyński Drohobycz, M. Cetera Dubiecko, Al. Bocsoń Bóbrka, K. Chodkiewicz Zbydniów. St. Szwabowicz Żurawno, St. Dobrzyniecki Stanisławów, St Cyran Jasło, Tow. „Zgoda“ Krosno, Fr. Nlepokój Krosno, G. Fuchsbalg Lwów, M. Arbesbauer Lwów. J. Badura Rożdzień. Wł. Nowiccy Wiśnicz, J. Czaczka Rzeszów, X. Jurkiewicz Tłumacz, A. Surowiecki Kraków, L. Fortuna Kęty, T. Domain Sanok, W. Źralski Podgórze, J. Ramoszyńska Borysław. H. Doening Schodnica, St. Wysocka Dąbrowa, H. Leligdowicz Fraga, K. Zielińska Manajów, M. Opolska Cz. Dunajec. E. Bogdalska Koropuż, J. Bazylewicz Jaktorów, J. Haładej Górki. J. Bielawski Brzeżany, W. Wąsikiewicz Wiśnicz. A St. Bassara Niwiska, M. Gałuszkiewicz Lwów, A. Batko Lwów, H. Mokrzycka Turbia, M. Różański Gorlice, A. Knapińska Kraków, M. Kroo, Kraków, J. Świerczewska Lwów, J. Czechowicz Mikołajów, M. Czaplicka Skierniewice, S. Czaplicka Skierniewice, St. Kozłowski Lubaczów, S. Miszke Kęty, M. Bossowska Bistoszowa, H. Ulrych Malin, J. M. Kudas Krempna, St Waśniewski Kosów, J. Kobylański Honiatycze, W. Stanula Samocice, H. Plechawska Stanisławów, Wł. Kisielewski Stryj Włodzio Macherski Częstochowa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. J. Czechowicz w **Mikołajowie**. Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Niepraktyczna.

— Kasiu zapomniałaś mi podać szczypczyki do cukru — odzywa się pani domu do pokojówki.

Pokojówka bierze ręką kilka kawałków cukru z cukierniczki, wrzuca pani do filiżanki i mówi:

— Ale też to pani niepraktyczna!

W Nowy Rok.

— Przychodzimy panu dobrodziejowi powinszować Nowego Roku!

— A odkądże to karawaniarze chodzą z życzeniami noworocznemi?

— A taż to myśmy przeszłego roku pochowali teściową pana dobrodzieja!

Wyjaśnienie.

— Proszę pana profesora, co to jest meteorologia?

— Meteorologia, mój kochany, jest to, że jak dziś powiesz, iż jutro będzie pogoda, a tymczasem deszcz leje jak z cebra.

Sam nie wie.

Ojciec (zerżnąwszy synowi skórę): Tak, a teraz powiedz, za co dostałeś?

Syn (płacząc): A widzi ta...tata, bi...bił ta... tata, a sa..am ta...tata nie wie za..a..zaco!...